



## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie r. s. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26.

**Treść Numeru.** Z Jaśniejszych chwil (Wiersz).—Podróż po Danii.—Korespondencja ze Lwowa — Przegląd muzyczny.—Przegląd teatralny. Pamiętnik Waclawy przez Elizę Orzeszkową.—Maż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

### Z JAŚNIEJSZYCH CHWIL

(URYWEK).

Jakże cudna, jak uroczą,  
Moja luba, ma pieszczotką!  
Tak powiewna a przezrocza,  
I figlarna niby kotka!

Ot spojrzycie jeno tylko,  
Jak wesoło i radośnie,  
Pędzi chwilkę wciąż za chwilką,  
I szczebiecze coś miłośnie!

Jak znów żwawo, niby ptaszek,  
Kwiatne łąki wciąż przelata,  
Jak wśród skoków, wśród igraszek,  
Na swą główkę wieniec splata!

Ot i splotła swawolnica,  
Ot i wraca już wesoła!  
Drżą usteczka, krasne lica  
I wianeczek drży u czoła!

Ej filutko, ej pieszczotko!  
Ej bieluchna ty perełko!  
Spojrz-że na mnie choć tak słodko,  
Jak spoglądasz w zwierciadłko!

Oj, bo wiem już coś marzyła,  
Ty swawolne szczęścia dziecię,  
Gdys ten cudny wianek wiła,  
Gdys to wonne rwała kwiecie.

A mój Boże! a mój Boże!  
Że też to dziewczątka owe,  
Choć tak śliczne, choć tak hoże,  
Lecz okrutne, lecz surowe.

Bo gdy która cię nie kocha,  
To choć zakliesz, wszystkie bogi  
Nie pomogą ci ni trocha:  
Musisz przejść przez cierń i głogi..

Ejże trzpiotki wy figlarne!  
Poco u was wdzięk jest taki,  
I oczęta takie czarne,  
I różowe te huziaki?

Czy, by chłopcom spokój klócić?  
Czy, by nęcić ich ku sobie?  
Czy, by tkliwe piosnki nucić?  
Czy tak tylko ku ozdobie?

Oj! nie te to Bóg miał cele  
Śląc wśród ludzi was szczebiotki!  
Więc słuchajcie, jak w kościele,  
Posłuchajcie mię pieszczotki!

Piękność, powab, śliczne rzeczy!  
Pełne nawet wdzięku, siły,  
Nikt też temu nie zaprzeczy,  
Lecz cóż z tego Boże miły?!

Lecz cóż z tego, gdy dziewice  
Pojąć nawet nie są w stanie,  
Że Bóg dał im cudne lice  
Nie na jednoż już kochanie,

Ale na to, na to jeszcze,  
By wszechwładne z swęj piękności,  
Mogły karcieć te złowieszcze  
W młodzi wady i śmieszności.

A. B. Brzostowski.

### Podróż po Danii.

Było to w maju. Gdy na wiosnę pękają kwiaty i otwierają swoje kielichy, gdy bociany pędzą a w powietrzu drży dźwięczny głos słowika, wtedy otwiera się i serce człowieka, wtedy głosy jakiejś słodkiej tęsknoty wabia, nas w dal nieznaną, a dusza radaby się wzbic ku niebu, unosić się po nad łądami i morzami i patrzeć na cuda ziemi koło słońca krążącej. Z takim uczuciem powróciłem do domu z rannęj przechadzki. Postanowienie moje było stanowcze. Pojadę na północ odetchnąć ożywcem powietrzem lasów i gór Skandynawji, nasycić oko moje widokiem skał i jezior, szemrzących strumieni i huczących wodospadów, wżyć się w zwyczaj i obyczaj tamtejszego ludu. Chciałbym zwiedzić i Zeelandję przez morze podmuloną, jej błogostawione pola i jasne wód zwierciadła. Zeelandję, gdzie kwitną sztuki i umiejętności, a z tego wszystkiego niechaj wspomnienie utworzy świetny obraz w księdze mego żywota.

Jak ptak gdy się wyrwie z klatki, pędziłem z Bre-

my do Hamburga. Wkrótce powitały mię mury staręj Hanzy. Jedna myśl stłumiła tym razem wszystkie inne uwagi: wspomnienie straszne go pożaru. Zniknęły dwie piękne wieże z których jedna wznosiła się na 400 stóp w górę. W istocie, trudno miasto bardziej oszpecić, jak gdy go się pozbawia jego wież: to jego duma, jak maszty na okręcie. Wprawdzie pałac jeden po drugim wznosi się w nowym blasku, ale stary Hamburg, dopiero wtedy byłby tem co niegdyś, gdyby jego pięć starożytnych wież, odzwierciadlało się w blasku słonecznym, witało przybysza i żegnało tego, co się oddala.

Niezatrzymując się długo, pojechałem do Kielu. Jest to miejsce bardzo miłe, przynajmniej tak się zdaje bawiąc tu krótko: wesołe i świeże twarze, piękne budowle, malowniczy port, pełno życia, w okolicy wzgórz lasami uwieńczone, wszędzie dobry byt i wielka ruchliwość przemysłowa. Na uniwersytet uczęszcza 300 do 400 studentów, o których powiedział raz poeta duński Jens Baggesen, że zdają się bardziej zagłębiać w swoich butach niż w uczonych badaniach. Nie miałem czasu sprawdzić czy i teraz jest tak samo.

W towarzystwie kilku przyjaciół wybrałem się z Kielu na przejażdżkę do Dönisch Neuhoff, gdzie są kąpiele morskie. Jeden z nas, który jeszcze nigdy nie widział pełnego morza, zdziwił się niezmiernie, gdy z głębi lasu wyszedł na przylądek i nagle ujrzał u stóp swoich morze bałtyckie. Cicha i spokojna jasna jak kryształ aż do dna, równa i gładka jak zwierciadło, ciągnęła się przed nami niezmierną, na krańcach horyzontu z niebem schodząca się płaszczyna, obraz czystej, błogiego spokoju doznającej duszy. Chciałem się kąpać, ale woda zdawała się jeszcze za zimną. Zresztą kąpanie się w morzu nie ma w sobie nic niebezpiecznego. My, daleko od morza zamieszkali, wyobrażamy sobie popolicie, że morze już od brzegu jest wszędzie głębokie, morze jednak rozlewa się w wielu miejscach na gruncie całkiem płaskim, i dopiero stopniowo staje się coraz głębsze, tak, że nieumiejący pływać, może brnąć w wodzie na 50 do 100 kroków od brzegu. Później w Zeelandji jechałem raz konno przez morze. W jednym miejscu jeżdżono nawet wozami, bo droga była wygodniejsza dla koni, mogących się opłukać i orzeźwić. W tej odległości od brzegu morze miało zaledwie półtora łokcia głębokości, a woda była tak czysta, że widzieliśmy każdą muszlę na dnie. Widok był bardzo przyjemny, po jednej stronie zielona, leśnista, wioskami okryta wyspa, po drugiej wspaniałe wybrzeża domami zabudowane a przedemną, w tej samej wodzie którą jechałem, mnóstwo wielkich o-



krętów z rozpostartymi żaglami. I teraz widzieliśmy ich wiele. Ukazują się na horyzoncie jako białe punkta. Przez dalekowiedz można dokładnie rozróżnić, że najprzód widać tylko górną część z masztami i żaglami, a później dopiero, w mniejszej odległości, wychyla się część dolna w postaci ciemnego połksiężycy a przyjemnie jest przekonać się o prawdziwie twierdzenia geograficznego, że rozciągająca się przed oczyma równa kryształiczna płaszczyna, w istocie jest potężnym wodnym sklepieniem.

Morze jest zaufanym Duńczyka przyjacielem i żywicielem: przekonać się o tem można patrząc na tysiące statków, które koło wybrzeży w zatokach i na pełnym morzu, jakby rozpieczęte stada gęsi i kaczek, krają w około i wracają z bogatym łupem. Ale często przyjaciel zmienia się w żarłocznego potwora, gdy go szał gniewu napadnie. Tak się stało w obrębie probostwa Prestz gdzie w roku 1625 morskie bałwany pochłonęły spory kawał ziemi. Na wschodnim wybrzeżu półwyspu, skały wapienne i kredowe są naturalnymi tamami. Gorzej jest na zachodnim. Tutaj morze od wieków wrzynało się w ląd, i na wybrzeżu mianowicie Jutlandji, poczyniło wcięcie i zatoki, które nazywają fiordami. Gdzieindziej znowu wznoszą się góry z piasku morskiego, ciągnące się milowymi pasmami, na 20 do 30 stóp wysokie, które częstokroć zasypują uprawne pola i zagrzebują domy. Z poodrywanych kawałków stałego lądu potworzyły się tu i owdzie wysepki, które często morze zalewa, i dla tego mieszkańcy tych wysepki stawiają chaty tylko na pagórkach sztucznie usypanych. W Szlezwicku i Holsztynie pobudowano sztuczne tamy i groble, dla ochrony od morskich bałwanów podobnie jak w Holandji i Frieslandji. Dziwnem zjawiskiem na zachodnim wybrzeżu Szlezwicku i Holsztynu są osady fryzyskie. Kiedy to plemię tutaj osiadło, nie da się wykazać historycznie. Przechowały się tylko podania, że niegdyś stały ląd rozciągał się pod imieniem Utlandji i Süderstrandu aż do Helgolandu (Heiligland) gdzie stała główna świątynia fryzyskiej bogini słońca i była punktem środkowym dla wszystkich Fryzów, którzy dzielili się na wschodnich, zachodnich, północnych i południowych. Nazwisko północnej Frieslandji dają dotąd osadom na zachodnich wybrzeżach od Eideru, aż do Widau, w okolicy Tondern i przeciwległym wyspom, z których jedna nazywa się Nordstrand. Jako południowych Fryzów możnaby uważać dzisiejszych mieszkańców Ditmarschu pomiędzy ujściami Elby i Ejderu. Tu i owdzie przechowały się jeszcze stare zwyczaje. Przebijają się one w urządzeniu zagrod włościańskich. Zielona murawa otacza każdą zagrodę i poboczne budynki, na około bieży szeroki, głęboki rów, którego brzeg wewnętrzny obsadzony jest drzewami, tak że szczyty domów wyglądają zawsze z pomiędzy zieloności drzew. Wjeżdża się przez bramę. Z tyłu leżą grunty do właściciela należące. W każdym domu ujrzyć można bardzo porządne sprzęty, szafy dębowe i orzechowe, naczynia porcelanowe i srebrne. Wszędzie panuje największa czystość. Toż samo postregłem w okolicy Kielu. Byłem w jednym domu chłopskim, który szczególnie ściągnał na siebie moją uwagę. Stał w pośrodku drzew liściowych i mógłby posłużyć za wzór czystości i porządku. Cała rodzina składała się z dziewięciu osób: wszystko się tam poruszało jak w zegarku i tak się świeciło jak wewnętrzne części zegarka. We wszystkich buduarach i salonach Kopenhagi, nadaremnie szukałem tej świecącej czystości, jaką tu w kuchni znalazłem, potrzeba chyba szkła powiększającego, żeby odkryć gdzie jaki proszek. We wszystkich izbach, nieznalazłbyś pewnie miejsca, nie wyjmując nawet wierzchu pieca, gdzie byś nie mógł położyć bezpiecznie najbielszych rękawiczek. Wprawdzie nie wszystkie domy w Holsztynie są takie jak ten: każdy jednak mniej więcej da się z nim porównać. Ma się rozumieć, że takie urządzenie domu jest skutkiem zamożności i urodzajności ziemi, a przedewszystkiem oświaty, rozwiniętej we wszystkich warstwach społecznych. Tam każdy uczy się, czyta i pracuje, zarówno wieśniak jak rzemieślnik, zarówno prosta wiejska dziewczucha, jak w liberję przystrojony dworus.

W Holsztynie i Szlezwicku kwitnie gospodarstwo mleczne. Na folwarkach trzymają po tysiąc krów i więcej. Moznaby powiedzieć, że Holsztyn jest ojczyzną dobrego masła i sera. Ser robią na sposób szwajcarski. Wszystko tu bardzo okazale wygląda. Ludzie są dobrej tuszy i pięknie zbudowani, równie jak ich konie i dobrze żywione woły. Odpowiada temu wszystkiemu powierzchowność kraju; pagórki

i doliny, jeziora i łąki, lasy bukowe i dębowe, obok falujących pól pszenicznych i domów częstokroć zamki przypominających, z rozległymi muraowanymi budynkami gospodarskimi. W okolicach zachodnich, byłoby całe dnie przepędza na otoczonych płotem łąkach koniczyną, a jedna krowa daje dziennie 60 do 80 kwart mleka. Koń holsztyński jest wyborny do pociągu i jak się zdaje, jest największym na północy.

Na Zeelandji widziałem konia skarłowaciałego z duńskiej wyspy Bornholm, ale jakkolwiek był mały okazywał się prawie nie zrównanym w szybkości i wytrzymałości. Otaczanie pól żywymi płotami z głogu i leszczyny jest powszechnem w Holsztynie. Liczba odosobnionych folwarków jest w ogóle bardzo znaczna. Na zachodnim wybrzeżu domy są rozrzucone i tylko kościół bywa otoczony kilku zagrodami. Na wschodnim wybrzeżu można widzieć naprzemian całe wsie, albo odosobnione zagrody. Jest tu mnóstwo wsi rybackich, w których równie jak wszędzie nad Bałtykiem, ciągną się domostwa długim porozrywaniem szeregiem. Wnętrze kraju jest jałowe, przetrznięte szerokimi ławicami piasku, wznoszącymi się na 1200 stóp, jak np. Himmelsberg. Tu szczególnie ku północy ciągną się rozległe płaszczyny piaszczyste, gajami zacienione, gdzie wypasają się stada owiec, po większej części grubo wełnistych. Od rodzaju ziemi zależy zatrudnienie mieszkańca. Kobiety tkają materje wełniane i płótno, robią pończochy i tiuliki, mężczyźni zaś uprawiają rolę, puszczają się na morze, łapią ryby i ostrygi, polują na ptaki morskie, które wszędzie w licznych stadach unoszą się nad brzegami morza i jezior. Na wiosnę zbierają na brzegach bursztyn, który burze wyrzucają na ląd, a burze bywają tam bardzo gwałtowne, i gdy z zachodu przychodzą, często i lasy pustoszą. W jesieni wieśniak ma dość do czynienia w pasiece. Pszczoły zbierają miód szczególnie na łąkach hreczki, której uprawa kwitnie bardzo, bo hreczka jest głównym pożywieniem tamtejszego wieśniaka. W zimie zamiast śniegu i lodu, częstokroć tylko mgła wilgotna okrywa ziemię, wówczas wieśniak zajmuje się różnymi domowymi pracami i wyrabia obuwie drewniane. Zwyczaj noszenia drewnianych trzewików panuje od granicy szlezwickiej przez całą Danię aż po za Kopenhagę. Są one dość zgrabne, często ozdobione blaszką mosiężną na wierzchu przybitą. Służący w miastach niechętnie rozstają się z tem obuwie, i narzekają że w innym nie wygodnie im stąpać po kamiennym bruku. Ale para takich drewnianych trzewików klapie po kamieniach jakby szło przynajmniej sześć koni kulawych. Pomimo tego chodzą zgrabnie, trzymając się zawsze bardzo prosto, do czego uprawiają się przez zwyczaj noszenia na głowie pomniejszych ciężarów.

Siedzibą rządu księstw Szlezwicku i Holsztynu jest Szlezwik. Zbudowane jest to miasto w kształcie półksiężycy i ciągnie się w krzywej linii nad Schleją, odnogą morza Bałtyckiego. Miasto prawie nie ma ulic bocznych, a do tego domy są prawie wszędzie otoczone ogrodami i dla tego jest niezmiernie długie, tak że potrzeba iść sporym krokiem godzinę i więcej nim się przejdzie od końca do końca. To było przyczyną że jeden Francuz zawołał raz z przekąsem: „Doprawdy Szlezwik jest większy jak Paryż!” Starożytna katedra z grobami książąt obfituje w różne osobliwości. W pobliżu znajduje się zamek Gottorp, tudzież starożytny wał z rowem, zwany Danewerk dwie mile długi, a 20 do 30 stóp wysoki, usypany niegdyś dla bezpieczeństwa od Niemiec.

Sposób życia w wyższych kołach społeczeństwa jest prawie taki sam jak u Anglików. Wstaje się o godzinie 8, w półgodziny potem idzie się do salonu, wszyscy w lekkich porannych ubiorach. Pije się kawę i herbatę prawie do 10. Potem panie i panowie ubierają się, następuje przechadzka, o godzinie 12 śniadanie, do którego zastawiają tylko zimne potrawy: na wybrzeżach, prócz innych potraw, także małe raki morskie: około godz. 3 obiad. Potem znowu kawa i herbata trwa do 7ej. Od 9 lub wpół do 10 dają wieczerzę, a koło północy idzie się na spacer. Dla cudzoziemców nieznośnym jest zwyczaj wieczornych posiedzeń towarzyskich, z których powraca się ledwie o 1 lub 2 w nocy do domu. Cierpi przy tem i zdrowie, bo jada się więcej jak zwykle a do tego ciężkie potrawy.

Wspaniały parowiec Chrystjan VIII przewiózł mnie w 16 godzinach z Kielu do Kopenhagi. W istocie szybka to jazda, odległość bowiem wynosi mil czterdzieści, a mój parowiec z powodu swojej wielkości pełnego trzymać się musiał morza. Tu i owdzie ko-

łysały się okręty poruszone wietrzykiem a promienie słoneczne przebijając się przez lekkie chmurki, łamały się cudnie na płatach żaglowych. Nigdy nie widziałem morza tak pięknej zielonej barwy, jak tym razem. Drugi mniejszy parowiec płynie pomiędzy wyspami. Przechodzi pomiędzy Longeland i Laaland potem ku wschodowi, tak, że Zeelandja zostaje po lewej stronie, Laaland po prawej, równie jak Folster i wysoka wyspa Møen, której wschodni przylądek Møenskin składający się ze skał kredowych, wybiega daleko w morze. Często zwięza się droga i staje się jakby szerokim kanałem, którego brzegi rozciągają naprzemian najcudowniejsze widoki. Brzeg Zeelandji szczególnie odznacza się pięknnością. Tu i owdzie widzisz błonia zielone, chatki rybaków i ich samych zapuszczających sieci, tam znowu piękną jakąś wioseczkę, albo kościół, albo jezioro. Na powierzchni wody ślizga się mnóstwo czółen, jachtów i łodzi, których majtkowie pozdrawiają się nawzajem wesoło. Kto się już nasycił morzem, wysiada w Vordingborg z kądem można odbyć dalszą podróż do Kopenhagi lądem, przyczem ma się i tę korzyść, że można wiedzieć dokładnie wnętrze wyspy. Moje towarzystwo podróżne nie było zbyt liczne, rozmawialiśmy o Ole Bullu, sławnym wirtuozie i rozmowie tej zawdzięczałem wiele szczegółów o przeszłym życiu tego artysty. Żaden mistrz nie był nauczycielem Ole Bulla. Urodził się i wzrósł w mieście norweskim Bergu, niesłyszawszy nigdy żadnego sławniejszego skrzypka. W szesnastym roku życia grał już najtrudniejsze sztuki. W osmnastym udał się do Chrystianji dla wydoskonalenia się. Dyrektor orkiestry tamtejszego teatru zastał i powierzył mu dyrekcję tymczasowo. Pragnąc usłyszeć jakiego mistrza, udał się do Niemiec. Słyszał Spohra, Karola Müllera, Maurera, niezadowolnili go jednak, powrócił więc smutny do Chrystianji, ale nie miał już odtąd spokoju i głos nieznanu wabił go w świat. Udał się do Paryża. Bez majątku i znajomości omal nieuległ największemu niedostatkowi w tej stolicy świata, i przeszedł ciężką próbę, którą się miał zająć cudzoziemcem bez imienia? W tem dał się słyszeć Paganini. Ole Bull uderzony zadziwiającą grą tego mistrza, który cały świat artystyczny zachwycał, pisał za grającym to co słyszał, w kilka dni potem już sam grał kompozycje Paganiniego i — pękła zaporą! Skrzydlaty motyl wyleciał z krepującej go powłoki. Dał koncert który zasilił go funduszami na podróż do Włoch. Tam po kilku próbach zyskał sławę, która odtąd coraz bardziej wzrastała. Zrobiwszy w podróżach znaczny majątek powrócił do ukochanej ojczyzny.

(d. c. n.)

## KORRESPONDENCJA ZE LWOWA.

(Dokończenie.)

Lwów obecnie coraz lepiej zaczyna się bawić a koniec karnawału, gotów na prawdę przybrać fguonię bardzo hulaszczą. Nie braknie bowiem lów, redut i zabaw prywatnych. Liczne bale wdzięcza Lwów obfitości towarzystw, które chętnie zdobyły sobie fundusz na całoroczną egzystencję niezapewniającą wcale wkładkami członków, urządzą corocznie bale, koncerty i w ten sposób zapewniają luki. Mieliśmy już bal towarzystwa muzycznego a mieć będziemy jeszcze bale towarzystwa bratniej pomocy słuchaczy wszechnicy lwowskiej, bal towarzystwa bratniej pomocy słuchaczy techniki lwowskiej, bal towarzystwa przyjaciół sceny narodowej i t. p. Bal akademicki wypadnie zapewne najświetniejszy. Nadzieja ta uzasadnioną jest świetną tradycją dawniejszych balów akademickich.

Bale maskowe, na których urządzenie ma przywilej dyrekcja tutejszej sceny niemieckiej nie wypadają świetnie. Tłok widzów jest zawsze wielki, maski także w sporę pojawiają się licznie ale o dowcip bardzo trudno. Prawie zawsze można w sali redutowej przeziwać noc całą i daremnie wołać: królestwo za jeden dowiep!

Lwowskie towarzystwa rzuciły się już i na to pole i urządzać zamierzają kilka balów maskowych, na które wstęp mieć mogą tylko osoby zaproszone. W poprzednim roku akademickim urządzili jeden taki bal maskowy na korzyść swego towarzystwa i świetnie mieli dochód. Ale garderoba była tak źle urzą-



dzona, że na drugi dzień musiano otworzyć osobne biuro informacyjne, dla odszukania zagubionych i zwrotu zamienionych paltotów, futer, płaszczy itp. Połowa gości bowiem znalazła się nazajutrz w cudzym ubraniu. Mnóstwo ztąd wynikło zażaleń i skarg na komitet zarządzający bal maskowy. Dotąd jeszcze nie zapomniano o tym fatalnym chaosie i dlatego też może tegoroczne bale maskowe urządzone przez towarzystwa, nie znajdą wielkiego wzięcia.

W tym roku poszedł Lwów za przykładem Wiednia i przyswoił sobie nową rozrywkę zimową — ślizgawkę. Związało się nawet osobne towarzystwo sportu łyżwowego, które postanowiło w sposób zręczny i porywisty zaszczerpić we Lwowie rozrywkę wiedeńską. Dzięki ostrzej zimie i zabiegom towarzystwa, ślizgawki bardzo pomyślnie wypadają. Staw panieński jest tedy celem pielgrzymek amatorów i amatek sportu łyżwowego. Lwowianki bowiem a nawet sfery arystokratyczne żywo zajęły się ślizgawką. W każdą niedzielę staw bywa przepełniony widzami, zwabionych mimo takiego mrozu, w odlegle od centrum miasta miejsce, urokiem pań ślizgających się i muzyką wojskową. Nie braknie tam często i scen wesołych, bo wśród tłoku ślizgających się i widzów, można być świadkiem niefortunnego *steeple chase*.

W ubiegłym miesiącu wyjątkowo, teatr dostarczył waszemu sprawozdawcy trochę więcej niż zazwyczaj materiału do korespondencji. Najpierw bowiem mieliśmy w pierwszych dniach stycznia, dwa świetne przedstawienia amatorskie, urządzone na korzyść jeńców francuskich przez znane osobistości tutejszego koła arystokratycznego. Grano trzy małe komedjki: *Ofiara Ifigenii*, *Dwie teściowe* i *Chevalier des dames* (po francusku). Przedstawienie to wypadło tak znakomicie, że musiano je w kilka dni potem z większym jeszcze powodzeniem powtórzyć. Gra amatorów i amatek była tak doskonałą i pełną powabu, że cały personel artystyczny naszego teatru, musiał uczuć pewne upokorzenie w obec tak znakomitego dyletantyzmu. Niejeden artysta obecny na tem przedstawieniu a zwłaszcza sam pan dyrektor musiał gorąco pragnąć, ażeby wszystkim hrabiom i hrabiankom lwowskim jak najrzadziej przychodziła fantazja urządzenia przedstawień amatorskich, które mogłyby nawet u uprzedzonych widzów wzbudzić powątpiewanie o doskonałości naszych sił artystycznych.

Najwięcej pochwał i uznania zjednała sobie gra hr. Aleksandra Fredry (syna) autora kilku doskonałych znanych i w Warszawie komedjtek.

Wkrótce potem znakomitem przedstawieniu amatorskiem, widzieliśmy na scenie dwa fenomenalne zjawiska t. j. przedstawienie dwóch nowych sztuk, któremi dyrekcja zwykła nas zazwyczaj karmić tylko w homeopatycznej dozie. Obie te nowe sztuki wzbudziły wielkie zajęcie, gdyż pierwsza z nich *Kapitulacja Laonu* obraz dramatyczny w pięciu aktach J. (Juliusza) S. (tarkla) osnutą jest na tle wypadków z obecnej wojny, a druga *Tromtadraci* pięcioaktowa komedja Aurelego Urbańskiego osnutą jest na tle stosunków lokalnych.

Pierwsza sztuka odznacza się bardzo szczęśliwym pomysłem. Dotychczas bowiem tylko Niemcy umieli zawsze zręcznie eksploatować bieżące wypadki na deskach teatralnych i w powieściach. *Kapitulacja Laonu* jest może pierwszą pod tym względem u nas próbą. Korzystanie ze świeżych wypadków nie zgadza się wprawdzie z estetycznym dogmatem F. Schillera: „co ma w pieśni odyć musi przedtem w życiu zagać” — ale cel, który sobie autor widocznie wytknął przy pisaniu tej sztuki, pozwala odstąpić od powyższej zasady. *Kapitulacja Laonu* bowiem napisana została widocznie w chęci zasilenia repertuaru niedzielnych przedstawień, które odznaczać się powinny odpowiednim wyborem sztuk a przedewszystkiem poczciwymi tendencjami, gdyż widzami na niedzielnych i świątecznych przedstawieniach, są klasy nie posiadające wyższego stopnia wykształcenia. A przedstawieniach niedzielnych teatr wywiera bardzo silny wpływ moralny i dydaktyczny. A niestereotypowy repertuar przedstawień niedzielnych jest u nas rzadko ubogi. Dotychczas bowiem na tych przedstawieniach, dawane bywają istne straszdyła dramatyczne o bajecznej ilości aktów i odstępów. W każdej nie zaś takiego utworu musi się wydarzyć jakieś zdarzenie, okropna zbrodnia albo co najmniej, konieczny wybrzek najniższej kategorii. Autorowie natchnieni wielkie położyliby zasługi, gdyby bowiem części starali się zapełnić tę lukę w naszej li-

teraturze dramatycznej. *Kapitulacja Laonu*, jest wybora sztuką dla niedzielnych przedstawień, chociaż dla swjej treści chwilowo tylko, w obec świeżych wrażeń wywołanych dzisiejszą wojną, budzić może żywsze zajęcie. Dotychczas grano już ją kilka razy i zawsze podobała się publiczności, chociaż reprezentacja była bardzo zaniedbana.

O *Tromtadratach* Aurelego Urbańskiego nie podobna nie powiedzieć przed wyjaśnieniem tytułu, który dla Warszawy jest zupełnie niezrozumiałym dla swjej apokaliptycznej zagadkowości.

Przed kilku laty nazwał dowcipny Chochlik *Tromtadrata* współpracowników pewnego lwowskiego dziennika, który bardzo często wypowiadał wojnę najaktywniejszym prawidłom gramatycznym, a nadto jeszcze nie rzadko broił przeciw przepisom zdrowego rozsądku. Nazwa tak się spodobała całemu miastu i wszystkim pismom, że *tromtadracja* nazwano całe stronnictwo odznaczająca się płytkiem a przynajmniej pobieżnym traktowaniem spraw, i junałctwem bez granic w podejmowaniu przedsięwzięć najtrudniejszych, a tem samem i lekkomyślnem dyskredytowaniem nieraz nawet bardzo trafnych i poważnych pomysłów. Otóż członków tego stronnictwa nazywa dzisiaj Lwów cały za przykładem Chochlika, *Tromtadrata*mi.

Pan Aureli Urbański wprowadzając na scenę *Tromtadratów* miał zadanie łatwe, gdyż dość było zebrać tylko i udramatyzować najwybitniejsze momenta z dziejów pomienionego stronnictwa, a byłby już miał spory zapas śmieszności, wystarczający dla naszej pod tym względem wcale niewybrednej publiczności teatralnej. Nadto jeszcze dałoby się było w tej komedji wprowadzić na scenę dużo znanych dobrze we Lwowie osobistości, i dotknąć bardzo zabawnych stosunków lokalnych. Ale autor za nadto lekceważył swój przedmiot i spotkał się z bardzo nieprzychylnym wyrokiem krytyki. Nawet aż nadto przychylni autorowi krytycy przyznali, że komedja *Tromtadraci* jest farsą tylko, bez motywów prawdziwie komicznych i żywszej lokalnej charakterystyki, co było przecież jej głównym założeniem. Dotąd nie powtórzonej tej komedji i dobrze było, gdyby jej nie narzucano publiczności, która zgromadziwszy się na pierwszym przedstawieniu bardzo licznie, niemięgo doznała rozczarowania.

Ta ostatnia komedja pana Urbańskiego dowodzi, że autor jej młody i utalentowany nawet, nie robi takich postępów, jakich krytyka i publiczność spodziewała się po pojawieniu się pierwszych jego utworów scenicznych. W ostatnich utworach p. Urbańskiego znaleźć można nawet więcej usterek, niżeli w pierwszych, prawie młodzieńczych jeszcze próbach. Jestto skutek zbyt dużego zaufania w talent, lekkiego traktowania sztuki i tej niesumienniej, pobłażliwej krytyki, która niewczesnymi pochlebstwami źle się przysłużyła już niejednemu młodemu autorowi. Klęska jaką poniosła reputacja literacka p. Urbańskiego na przedstawieniu *Tromtadratów* powinna stać się pouczającą wskazówką dla krytyki i autorów młodych, a przedewszystkiem dla p. Aurelego Urbańskiego.

Świat muzyczny Lwowa miał w ostatnich dniach stycznia bardzo ciekawe widowisko. Przybył bowiem do nas Włoch cavaliero Calderazzi, który urządził oryginalny koncert „szklany”. Pan Calderazzi gra na bardzo oryginalnym instrumencie — bo na kieliszkach, z których przez lekkie dotknięcia zwilżonego palca dobywa najrozmaitsze tony. Kieliszki, których liczba zmieniana może być dowolnie w miarę potrzeby, ustawione są na dnie rezonansowem, opartem o cztery nogi, których konstrukcja jest bardzo sztuczna i wpływa na intonację. Na tym instrumencie dawał więc koncert włoski artysta, i z podziwienia godną zręcznością i sprytem wywołał zdumienie powszechne. Nie rozpisuję się dłużej o tem fenomenalnym zjawisku, gdyż niezawodnie pan Calderazzi nie pominie Warszawy w swych podróżach.

Już to amatorowie muzyki częste i miłe rozrywki mają we Lwowie. Oprócz koncertów przyjeżdżających do Lwowa artystów, mamy stałe wieczorki muzyczne, które urządza towarzystwo muzyczne w pięknej sali zakładu Ossolińskich.

Ruch księgarski i wydawniczy nie może wyjść ze stagnacji, w którą od chwili wybuchu wojny popadł. Dotąd wszyscy kupowali i czytali tylko dzienniki a o książkach zapomniano prawie zupełnie. Od kilku miesięcy więc oprócz kalendarzy i innych publikacji informacyjnych, nie pojawiła się żadna uwaga godna książki. Być może, że obecnie nastąpi zwrot po-

myślniejszy, gdyż wojna chyląc się ku końcowi, nie absorbuje już tak powszechną uwagę jak przed kilku tygodniami. Dzisiejsza jednakże kronika bibliograficzna musi być szczupłą i ograniczyć się tylko na dwóch faktach: księgarz Czajkowski drukuje odczyty dla kobiet p. Władysława Łozińskiego p. t. *Z estetyki i z życia*, a drukarz Aleksander Vogel rozpoczął druk biblioteki powieści oryginalnych i tłumaczonych. Jestto obok *Biblioteki powieści i romansów zagranicznych* wydawanej przez księgarnię Gubrynowicza drugie wydawnictwo powieściowe. P. Vogel rozpoczął wydawnictwo swoje powieścią Berlicza Sasa p. t. *Kasztelanowa Trocka*. Powieść ta drukowaną już była w Dzienniku literackim.

Br. Ł.

## Przegląd muzyczny

*Koncerta panny Kahrer. Album Włoskie* (wydanie Hoëzika).

W liczbie koncertantów dość licznie odwiedzających Warszawę, znajdujemy według naszych spostrzeżeń dwa rodzaje wirtuożów: jedni, prawdziwi artyści, których grę cechuje piętno wyższego natchnienia, którzy obrany instrument ukochali głęboko i część życia weń włożyli: do drugiego rodzaju należą ci, co nie sztuce, ale estradę mają za cel swój główny, co talent swój, nieraz bardzo wielki kształcili tylko dla dawania koncertów. Jest to według nas niebezpieczny kierunek i w krótkości postaramy się wytłómaczyć co przez to rozumiemy.

Talent kształcący się powinien myśleć o dojściu do możliwej doskonałości w sztuce, do poznania wszelkich jej tajemnic, nie myśleć wyłącznie o koncertach, popisach i t. p.

Kształcąc się w ten sposób dochodzi się do prawdziwego artyzmu, otrzymuje się zaszczytne kapłaństwo w sztuce, nabiera się obszerne poglądy tak na sztukę jak świat i naturę, z której sztuka początek bierze. Podobnie wykształcony artysta przestaje być uczniem i bezwiednym automatem, zaczyna samodzielnie o wszystkim własne wyrabiać zdanie, a wystąpiwszy publicznie składa dowody swjej pracy i myśli, uczy innych, i staje się istotnym pośrednikiem między wielkimi utworami genjuszów, a ogółem.

Inaczej jednak ma się rzecz z tymi, co pracując nad wyrobieniem technicznym, myślą tylko o koncertach. Tacy lub takie, (gdyż zarówno stawiamy tu mężczyzn jak i kobiety) stwarzają sobie fałszywe ideały. Myśl ich skierowana nie do sztuki ale do siebie, zawczasu syci się plonem przyszłych powodzeń. Dla tych sztuka staje się sługą, talent środkiem do wywyższenia. Występując publicznie zajęci jedynie myślą, aby słuchaczy olśnić i zadziwić, wszystko obracają do tego: mechanizm, siłę, efektu kontrastów i t. d. Tacy to wirtuozi wykonywując dzieła najwyższej wartości, nie idą w ślad za myślą autora, nie czują z nim i nie cierpią, gdy on cierpi....

W miejsce tego dają słuchaczom wszelkie zewnętrzne pozory uczucia, będą wtędy i oczy do góry wznoś, i głową potrząsać, a potem z zimnym wyrachowaniem śledzić z pod oka, jakie to na innych wrażenie sprawia! Przykro zaiste widzieć sztukę tak lekceważoną przez tych, którzy jednak mogliby stać się artystami godnymi świętego kapłaństwa. Nie wiemy jakie jest przekonanie innych w tym względzie: co do nas jednak czujemy i wypowiadamy nasze zdanie otwarcie, jak nas skłania do tego prawdziwa miłość sztuki.

Rozpisałiśmy się w tej materji dla tego, że występy panny Kahrer wprowadziły nas w kłopot, a mianowicie nie mogliśmy zdać sobie sprawy z tego, co nazywa się *artyzmem* w człowieku oddanym sztuce? Jedni artyzmem nazywają doskonałość techniczną, inni doskonałość tę uważają tylko za środek do wydania doskonałości duchowej.

Z tego to punktu zapatrując się na artyzm, pilnie śledzieliśmy za objawami ducha w grze panny Kahrer.

Przyznajemy, że ma znakomity mechanizm i siłę nie kobiecą, że siła ta przez wzorowy układ ręki, nigdy nie razi krzykliwością. Uroczego *pianissimo* panna K. nie posiada wcale, a przynajmniej nie odpowiada co do wartości silnemu *fortissimo*.



Lekkość w grze ma zadziwiająca, gamma równa i jedrna choć peretkowa. Jednem słowem, technika bezwarunkowo przemawia na korzyść panny K. Oddawszy więc słuszną techniczną panny K. zaletem i zdolnościom, zwracamy się do głównej rzeczy.

Panna K. ma talent niepospolity, t. j. iskrę świętego ognia Bóg jej udzielił. Jakże ona z niego korzysta? Trudna to odpowiedź, ale postaramy się ją znaleźć.

Najprzód zwracamy uwagę że koncertantka grała Liszta bez zarzutu. Nie dziwne to, bo uczennica musi wiedzieć czego chciał autor-nauczyciel, a zresztą utwory te li tylko techniki wymagają. Nowellety Schumana wyszły także z pod rąk panny Kahrer dobrze, gdyż fantazja młodzieńcza w tych utworach do wieku wirtuozki przystaje; zresztą w utworach tych Schuman wyłamywał się z form klasycznych, gdyż pragnął nową formę stworzyć, sądzymy więc że przy mechanizmie jaki panna K. posiada, łatwo jej było zrozumieć te intencje autora.

Zarzuć mogliśmy tylko za mało śpiewności w ustępach wymagających tego, np. w ustępie *A major* ostatniej Nowellety.

Bach dla swój surowej powagi nie był szczęśliwie przez wirtuozkę użyty: pedał także na przeszkodzie stanął, zacierając rytmy i figuracje.

Jak pojmuje panna K. Szopena o tem nie możemy mówić, bo wielu jest grających, tyle jest zdań o pojmowaniu tego autora.

Pozwolimy sobie za to trochę obszerniej o Bethovene się rozpisac, gdyż jak wiadomo mistrz ten niesłychanie jest trudny w utworach fortepianowych. Aby go należycie odegrać, potrzeba oprócz wielkiego mechanizmu, dwóch jeszcze rzeczy; głębokiego a poważnie skupionego w sobie uczucia, i władania formą i stylem Bethovenowskim, czyli jasnie mówiąc trzeba żyć się z tym mistrzem, badając go długo i sumiennie, i dojść przez to do pojęcia jego wielkich idei jakie w muzyce wyrażał, do zrozumienia tych tajemnic psychologicznych, jakie widnieją w szczegółowych zwrotach tego geniuszu. Panna Kahrer na to jest zamłoda, to też w sonacie *Appassionata* nie zrozumielimy, oprócz tego, że koncertantka posiada siłę. Sonatę *quasi una fantasia*, panna K. odegrała gorzej jak miernie. Utwór ten początek swój bierze z promienia księżycowego, powinien więc być fantastyczny, ale nie w ten sposób. *Adagio musi* być odane ze spokojem i nie jako *Andantino*, a jednak w tym tempie panna K. odegrała ten ustęp, dodając do tego niewłaściwe rubato i inne zmiany tempa.

W *scherzu* nie było *scherza* według tego jak koncertantka grała. Z finału zaś nic nie mogliśmy zrozumieć, bo wszystko tam było zmaczone, i tu także dowolne a niewłaściwe zmiany tempa raziły nieraz skandalicznie. Z dwóch zaś akordów rozwiązanych, stanowiących tło całego finału, zawsze słyszeliśmy pierwszy, a ani razu drugiego. Takie niepojęcie autora przekonało nas ostatecznie, że panna K. nie wie jeszcze co to jest artyzm, a dla dzieł sztuki szacunku nie ma i nie czuje ich wartości, bo nie objawiałyby tak silnie *na zewnątrz* uczucia swego, wtedy gdy go nie ma *wewnątrz*.

Otóż doszliśmy do rzeczy głównej i ostatecznej, i sądzymy, że powyższy okres można przyjąć jako charakteryzację osobistości panny Kahrer.

Wynika ztąd że wirtuozka pracowała dotąd widocznie tylko dla koncertu a nie dla sztuki, teraz wypada jej uczynić reformę, bo niebezpieczny kierunek w jakim szła dotąd może ją doprowadzić do drugiego rodzaju tych, o których na początku artykułu mówiliśmy. Dla tego też prawdy nie owijamy w cukrzane słówka przesadzonej grzeczności, objawiamy ją otwarcie w tej nadziei, że padszy na dobry grunt, dozwoli nam w przyszłości zupełnie inne o artyzmie panny Kahrer wypowiedzieć zdanie.

Księgarze dotąd ciągle narzekają na stagnację chociaż polki, walce, mazury chętnych mają nakładców. W liczbie wydawnictw poważnych stanęło do szeregu album Włoskie z repertuaru pana Ciaffei. Jaka jest wartość romansów włoskich nowej szkoły, mieliśmy sposobność powiedzieć w jednym z ostat-

niach numerów r. z. Dziś zdanie to potwierdzamy. Z całego licznego tego zbioru śpiewów, jeden tylko ma wartość prawdziwie muzyczną t. j. *Listek Marianiego*. Czyżby pan Ciaffei w swoim repertuarze nie miał nic lepszego?

Szkoda zaiste czasu oceniać każdy numer Albumu chociaż mogliśmy z łatwością wykazać całe ubóstwo myśli jakie w tych śpiewach widzimy.

Ani jeden z autorów w tym albumie znajdujących się (z wyjątkiem Marianiego) nie zna gruntu harmonii, bo w każdej pieśni znaleźliśmy niedarowane przeciw niej błędy.

Tematy zaś i okresy składają się z przestarzałych kolumnatów, w secinach innych pieśni i oper włoskich znajdujących się; łatwe to do śpiewania ale nie kształcające gustu ani odrobinki.

Daj Boże, abyśmy w miejsce podobnych albumów, mogli jak najprędzej powitać utwory tułejszych młodych kompozytorów, których prace mimo uznanej wartości, spoczywają w tece czekając wyjścia na światło dzienne.

Z. N.

### Przegląd teatralny.

**Zamęcie Wiktoryny** komedia w trzech aktach J. Sand. tłumaczona z francuzkiego. Przedstawienie pierwsze d. 11 Lutego b. r.

Po raz drugi i to w małym ustępie czasu, z nazwiskiem p. J. Sand spotykamy się na afiszu teatralnym. Zdawałoby się to przemawiać na korzyść jej talentu dramatycznego, tak jednak nie jest i to ponowne darzenie nas utworem jednej osoby, należy przypisać więcej szczęściu tłumacza jak istotnej wartości przedstawionej komedji. Dramat *Margrabia Villemer* to cała powieść weisnięta w pięcio aktowe ramy; życia w nim mało, intrygi żadnej, zaciekawienia ani odrobinki i po dwóch scenach już słuchacz wie, że on ją kocha że ona za nim będzie przepadać i że w końcu prawdopodobnie pobiorą się pomimo książęcego tytułu młodzieńca, a zwyczajnej osobistości bohaterki. Przeprowadzenie tego uczucia miłości przez różne zwyczajne przeszkody i trudności to jedyny wątek całego dramatu, ulepionego nie z faktów istotnej dramatycznej siły, ale z rozumowań zbyt rozwlekłych a na scenie zawsze niepożądanych.

Ztąd nudota nie do wytrzymania, akta wloką się bez końca, przestanki jeszcze dłużej, mija pierwszy, drugi, trzeci akt, widz ciągle spotyka się z jednym i tem samem, w czwartym zaczyna się niecierpliwić, a w piątym dopiero dowiaduje się o tem co już wiedział w pierwszym akcie. Komedja: *Zamęcie Wiktoryny* wszystkie te wady posiada w mniejszym nieco stopniu, ale odrazu poznać można że z pod tej samej co dramat wyszła ręka. Rzecz nadzwyczaj prosta. Antoni kasjer bogatego kupca Vanderke, posiada córkę Wiktorynę którą wydaje za Roberta komisan-ta. Od pierwszej zaraz sceny stanowiącej rozmowę jej z ojcem widz przekonywa się, że Wiktoryna zamężciu temu nie jest bardzo przychylna, niby kocha i bardzo szanuje Roberta, a jednak smuci się i nudzi. W ciągu jeszcze aktu pierwszego tajemna przyczyna smutku Wiktoryny odsłania się: Wiktoryna kocha Aleksego syna pryncypała jej ojca, Aleksey kocha ją także, widzowie na chwilę o tem nie wątpią, nawet Robert narzeczony wiedziony zazdrością domyśla się tej miłości, a jednak wszystkie osoby komedji tak mówią i działają, nie wyłączając Wiktoryny i Aleksego, jakby tajemne uczucie nie łączyło młodą parę. Dalszy przebieg komedji poświęcony jest jedynie przedstawieniu, jak domysł ten powstaje, wzrasta i zamienia się w pewność: czasem zdaje się że już, już prawda wypłynie na wierzch, że po wzajemnem serc związaniu czarodziejskim wyrazem kocham! nastąpi zmiana stanowiąca właściwą

treść komedji, ale nic z tego, wszystko znowu wraca do dawnego stanu niepewności, z wielkim zdziwieniem i niezadowolaniem słuchacza. W końcu dopiero przedstawienia, węzeł tak słabo związanej treści rozplątany zostaje, a widz znowu się dziwi, że to w pierwszym nie nastąpiło akcie.

Zamęcie Wiktoryny nie jest dramatem, ale i komedją nazwać jej niemożna. Wprawdzie górna część widzów chciwie chwytą najmniejszą sposobność do rozmiania się, ale nie dowodzi to wcale, aby w komedji tej coś się istotnie komicznego znajdowało. Jakże tu nie śmiać się przyszedłszy na komedję. Brak udeterminowania właściwego harwy dla całej sztuki, wpływa także niekorzystnie na wybitność charakteru wprowadzonych osób.

Oprócz Aleksego, Roberta, Wiktoryny, w naiwności swój dziewczęj nie wiedzącej nawet że kocha Aleksego, oprócz słabo określonej indywidualności Antoniego, wszystkie inne postacie mdłe bez życia, sztywne jak manekiny, mówią tylko dla objaśnienia, ale nie dla wprowadzenia w grę jakiegoś potężniejszego uczucia, którego rozwinięcie godnemb było sceny. W podobnych rolach występować, męka to prawdziwa i poświęcenie wielkie. Pan Grzywiński p. p. Figarska i Przedpejska dostąpili tego zaszczytu, a że ról swych nie popsuli, że byli znośni nie rażący, zasługa to ich niemata. Pan Rapacki w roli Antoniego, wybornie ucharakteryzowany odpowiedział w zupełności swemu zadaniu. Mcze w niektórych miejscach skąpo rozrzuconej dramatyczności, zaniedbał korzystać z możności podniesienia tego co na to zasługiwało, ale to nie psulo całości i tylko dla bardziej słuchaczy było widoczniejsze. Pan Świeżewski był jak zwykle żywym i swobodnym, ale odznaczył się wprawdzie żadnym wybitnym szczegółem, ale rola którą mu powierzono najmniejszej do tego nie dawała sposobności.

Mówił jednak z prawdziwym uczuciem, smutek jego miał wiele prawdy, a radość była szczerą, gdyż wreszcie przekonał się że go Wiktoryna kocha.

Pan Piasecki w roli zazdrosnego Roberta wywiązał się dobrze ze swego zadania: trudności i tu było wiele, śmiało niektóre rysy jakimi autorka postać tę nakreśliła domagały się gwałtem ognistych słów i wybuchu trawiących go boleści, artysta powstrzymać je jednak musiał, bo wymagała tego treści sztuki na trzy rozwałkowane akta.

Główną osobą w komedji była pani Bakałowiczowa w roli Wiktoryny. Naiwność główną cechą niepospolitego talentu tej ulubionej artystki, w *Zamęciu Wiktoryny* łączy się z poważniejszym nastrojem duszy. Przyglusza ją wprawdzie świadomość smutku, dziwnej tęsknoty, zawsze jednak jest to dziewczyna pełne niewinności, kochająca z całym rozkwitem swego uczucia, szczerze, gorąco choć bezwiednie. Artystka myśl tę roli swój pojęła wybornie, trapiła się ułożeniem małżeństwem z Robertem, ale umiarkowanie bez gwałtowności, bez wydania przyczyny tego strapienia, bo jej wówczas jeszcze nie znała, cieszyła się każdą grzecznością lub rozmową Roberta, ale w radości jej miłość z przyjaźnią tak się spletały, że choć jasne obie żadna z nich nad drugą nie górowała. Artystka wszędzie była panią swego położenia, naturalną, bez przesady, miłość ją uszczęśliwiała, uczucie własnej godności wzmacniało, a chwila rozstania rola na zawsze z Aleksym doszła do wysokości prawdziwie dramatycznej. Jest to nowy zwrot w talencie pani Bakałowiczowej, życzymy go nie porzucić i winszujemy szczerze jego objawu.

### DONIESIENIE.

Osoba długi czas pozostająca przy gospodarstwie, uzdolniona przytem we wszystkich robotach damskich, pragnie przyjąć obowiązki **gospodyn** w Warszawie lub na prowincji. Bliższą wiadomość powziąć można przy ulicy Krakowskie - Przedmieście (wprost kościoła Ś. g. Krzyża) pod № 404 (nowy 6), mieszkania № 13.

(353)



## PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Otwierałam okno mojej sypialni i gwiazd nocnego nieba pytałam: dla czego tak było? i błagałam je aby sprawiły, iżby myliły się oczy moje, iżbym dusze ludzkie i twarze ludzkie, tak piękne i niepokalane widzieć mogła jak śniłam je w półdziecięcych mych o świecie marzeniach! I czasem gwiazdy przemawiały do mnie z łagodną pociechą, zwąc mnie słabem dziecięciem, którego niedoświadczenie i życie nowe w obłąd i chaos niezrozumiały wprowadza, lecz czasem powlekały je chmury i grzmiał od nich głos straszliwy, w którym słyszałam przepowiednię, iż piękna wkrótce kryształowe ściany pałacu ułudy, a ja zostanę stojąca pośród ogrodu, w którym kwiaty pomarły, smutną wśród smutnych chwastów i badyli...

Były dni, w których czułam się radośna, życiem jakby upojona; przychodziły inne wtrącające mnie w zamęt zdziwienia pełnego zagadek, dziwnych dum prowadzących do serca trwogę...

Poznawałam młode panny, którym jak mnie życie schodziło pomiędzy zwierciadłem a salonem. Panny te pośród ludzi wydawały się wesołe i ożywione, zmieniały twarz gdy sądziły, że nikt nie patrzył na nie... zdawało mi się, że wtedy na lica ich wypętał z piersi robak znudzenia, zniechęcenia, czasem goryczy i smutku...

Poznawałam młodych ludzi, którzy błyszczeli złotymi łańcuchami i brelokami, i konwencjonalnie mieli uśmiechy: grzeczne ich ukłony i grzeczniejsze jeszcze komplementy, zdawały się być zamówione, uszyte i zakupione u tego samego krawca, co sporządzał ich modne tużurki. Po czołach ich przemykała myśl wyższa, oczy błyskały zapalem, ale mijała sekunda a czoło się pochylało i źrenice stawały się martwe. I widywałam nieraz zamiast dojrzałych pań, zasiadających na zaszczytnych miejscach ich towarzyskie pozycje. Pozycje te prawily sobie grzeczności, uśmiechały się czule i ścisnęły sobie wzajemnie ręce z przyjaźnią, a osoby będące ich widomymi znakami patrzyły na siebie z ukosa, i miały zjadliwe usta, niby ukąszenia żądne...

A wszystko to jednak lubo zagadkowe i mgliste, posiadało pewną woń upojającą, która czarowała zmysły, pociągała ku sobie nieprzepartą siłą atrakcji.

W łonie całego tego tłumy i gwaru, drżało obietnicę mnóstwo, pozory wesela i szczęścia paliły się migotną grą barw niezliczonych; błyszczące drobności łączyły się w jedno ognisko i gorzały jak słońce; tajone uczucia i namiętności, wyziewały z siebie technienie, od którego piersi podnosiły się szybszym oddechem, a oczy pragnęły zamknąć się aby marzyć snem gorączkowym.

Straszna ale cudownie urocza była zagadka tego świata, o której rozwiązanie błagałam gwiazd błyszczących nad rozpaloną moją głową. Słychać w niej było rwanie się ku innym światom, walczenie i za-

mieranie serc mnóstwa, szamotanie się i omdlewanie myśli, jęki ducha tłumionego ciasnymi ścianami formy, tragiczne śpiewy zakończone wybuchami śmiechu, i śmiechy z których łzy sypały się niby grad. Nie rozumiałam tego świata, ale go przeczuwałam. Serce moje ścisnęła trwoga, ale wyobraźnia rwała się ku niemu, jak rwie się motyl ku chwiejnemu świecy płomykowi. Byłam gotowa wielokrotnie razy oparzyć skrzydła moje przy płomieniu świata i wielokrotnie razy rzucić się znowu w jego objęcia.

Rozbudzona fantazja podsycała moją ciekawość a serce gnało dalej i dalej, bo na dnie wszystkich zagadek i tajemnic pragnęło znaleźć i odgadnąć tajemnicę szczęścia...

Shczęście! zdawało mi się, że je widziałam w oczach, słyszałam w głosie p. Agenora. Bo jeśli w posępnych ścianach domu moich Babek i z posępniejszym jeszcze cieniem Rozalji obok siebie, korzystne na mnie wywołał wrażenie, o ileż ponętniejszym i czarowniejszym powstał we własnej mej wyobraźni, gdy wśród ciszy nocnej, sam na sam z sobą i blaskami lampy, albo wśród powodzi słonecznego światła i kłombów kwiatów pełnych, myślałam o nim.

Gdy myślałam o nim, znikaly bez śladu wszystkie obawy, przeczenia i wątpliwości. Wiarą dziecięcą i dziewiczą poezją, stroiłam jego postać. Uznawałam że posiada wszystkie cnoty i zalety ulubionego mego bohatera z powieści i wiele innych jeszcze. Byłam pewna, że jest szlachetny, mężny, wspaniałomyślny, mądry. Wyobrażałam go czasem w postawie rycerza przyodzianego w zbroję, idącego walczyć za rzeczy święte; a czasem widziałam go pasterzem siedzącym nad brzegiem strumyka i splatającym wieniec z polnych kwiatów dla mnie. Lubiałam także przedstawiać go sobie jak w salonie olśniewał wszystkich dowcipem i czarował dźwiękiem głosu. A im więcej myślałam o nim w samotności, tem więcej przybawało mu cnót i powabów. Krew uderzała mi do głowy gdy przyjeżdżał, wychodziłam sploniona cała, ale nie traciłam przy nim śmiałości i owszem, nigdy nie bywałam tak ożywioną i dowcipną, jak gdy rozmawiał ze mną; z nikim takić jak z nim nie umiałam prowadzić szermierki słów przyskających iskrami niewymuszonego dowcipu. I dziwna rzecz! Za każdym razem gdy go widziałam, zdawało mi się, że jest pewien rozstrój między nim a jego obrazem, jaki wśród samotności, podnosił się w mej wyobraźni. W czem by leżał ten rozstrój nie wiedziałam, czułam tylko, że p. Agenor rzeczywisty nie był zupełnie takim jak Agenor wymarzony. Pierwszemu nie dostawało czegoś, co posiadał drugi: w drugim było czegoś mniej niż w pierwszym. Czułam wtedy jakąś kłótnię zmysłów mych z moim duchem. Oczy widziały co innego, a co innego ukazywała fantazja. Z tej sprzeczności wypływał niekiedy smutek i opadał mi na serce. Spozstrzegając to może p. Agenor, bo zbliżał się wtedy do mnie i tak jakoś patrzył i tak mówił i taki wyraz miała twarz jego, że stawał się znowu podobny do swego obrazu wymalowanego przez wyobraźnię moją, a gdy odjeżdżał, jam znowu marzyła o nim przy bładem świetle lampy nocnej; owijałam tkaniną z promieni słonecznych, zdejmowałam z nieba gwiazdy i kładłam mu je na czoło...

Ale tak myśląc i tak marząc o p. Agenorze, ani razu nie położyłam ręki na sercu i najtajniejszej głębi mej myśli nie rzuciłam pytania: czy kocham go? Ani wątpiałam, że tak było. Płonić się na czyjś widok gorącym rumieńcem, czuć zawrót głowy przy dźwięku czyjegoś głosu, znajdować kogoś miłym, pię-

knym, dowcipnym, przyodziewać go w wyobraźni wszystkimi cnotami legendowych bohaterów i całą poezją sielankowych pasterzy, nieznaczyłoż to—kochać? Ani wątpiałam o tem, że byłam pod wpływem miłości dla p. Agenora, wielkiej, szalonej, gotowej do wszelkich ofiar, jaką bywała miłość bohaterek czytanych przezemnie powieści. Lubiałam niekiedy porównywać się w myśli do tych bohaterek. Kiedy jechałam konno pomiędzy rozłogami pól otaczającymi drogę, patrzyłam w stronę, w której było mieszkanie p. Agenora i ptaków przelatujących nad moją głową, pytałam: czy go widziały? Kiedy księżyc w pełni wypływał na niebo, a ja wlepiłam wzrok w jego srebrną tarczę, myślałam, że p. Agenor również jak ja i w tej samej chwili, patrzy na świetną gwiazdę nocną i że w sercu jej zbiegają się promienie naszych oczu. Nigdy nie byłam tak skłonna do upoetyzowania najprozaiczniejszych wypadków życia jak wtedy. Wyobrażałam sobie, iż koniecznie w piękny jakiś wieczór letni przy słońca zachodzie, zostanę w czasie przejażdżki uniesiona moim wierzchowcem, który przez wzgórza i lasy nieść mię będzie ku strasznej jakiej przepaści, i że wtedy z załęśnej gestwiny wypadnie p. Agenor i mężną a silną ręką, uratuje mię od nieuchronnej zguby. Mijało wprawdzie wiele zachodów słońca i wiele odbyłam przejażdżek, a romantyczna nie zdarzała się awantura. Parę razy jadąc przez las posłyszałam za sobą przyspieszony tentent konia i krew mi uderzyła do głowy. Byłam pewną, że zobaczę niespodzianie zjawiającego się p. Agenora w fantastycznym myśliwskim lub rycerskim stroju. Niestety, gdy odwróciłam głowę, spostrzegłam wiejskiego chłopaka z pobliskiej wioski, cwałującego oklep i boso na chudej i zdyszanęj szkapie.

Innym znów razem, gdy późno w nocy siedziałam przy otwartem na ogród oknie mojej sypialni, i pełną pierśią oddychałam powietrzem lipcowej nocy, usłyszałam w ogrodowych zaroślach szelest stłumiony. W uszach mi zaszumiało i pociemniało w oczach. Jak błyskawica przebiegła mi przez głowę myśl, że może to p. Agenor, dręczony tęsknotą za mną zakradł się do naszego ogrodu, patrzy z gestwiny na moje oświetlone okno i na powiewie wiatru przesyła mi westchnienia miłości. Wszakże nieraz czytałam o podobnych rzeczach w romansach.

Z wyteżony wzrokiem i twarzą płonąca, siedziałam nieruchoma, patrząc na punkt ogrodu w którym ozwał się szelest, i po chwili spostrzegłam jak poruszyły się gałęzie krzewów, a z pośród nich łopocąc rozpiętymi skrzydłami podniosła się sowa i poleciała pomiędzy lipy stare.

Nie zrażałam się jednak tem dziwnym spotykaniem się fantazji mojej z rzeczywistością i snułam dalej nie marzeń. Słyszałam nieraz ubolewających nad tem, że minęła pora w której dziewice siedząc u kominkowego ognia przedły len na kołowrotku: otóż zdaje mi się, że i teraz zajmują się one tą samą czynnością, tylko że kominkowy ogień zastąpiło zwierciadło, a zamiast nici lnianych przedzą one pasma marzeń i widzeń fantastycznych na wartkim kołowrotku własnej wyobraźni. I zaiste, cóż innego czynić mają? Cóż innego czynić miałam ja, gdy jako jedyny grunt, na którym miało rozstaczać się życie moje, wskazano mi woskowaną posadzkę salonu; jedyny świat dostępny, zakreślono przedemną sztachetami otaczającymi ogród, za jedyną pracę dano krosienka z rozpiętą kanwą i kilka w pasowy safian oprawnych romansów i podróży francuzkich.



W godzinach upływających pomiędzy wizytami i rewizytami, czytałam romanse wyszukując w ich bohaterach podobieństw do p. Agenora, a potem wyszywałam na kanwie poduszkę dla babci Hortensji. Ale malowane kwiaty na deseni nie podbijały mojej myśli, myślałam się w rachowaniu krzyżyków i dobieraniu barw włóczki, i często pod ręką moją rózki rodziły się zielone a liście różowe. Wtedy przychodziła garderobiana Zosia i poprawiała robotę, a gdy przyjeżdżały sąsiadki, oglądały krosienka ustawione przed oknem salonu, podziwiałały moją pracowitość. Mnie jednak rumieniły te pochwały, bo przywodziły mi na pamięć w dzieciństwie usłyszane wyrazy ojca, że człowiek który pracuje, rozumie myśl Boga! A jam czuła, że wyszywając na kanwie nie postąpiłam ni na krok ku zrozumieniu tej wielkiej myśli.

Pojechaliśmy z matką do państwa Rudolfów, nie ażeby nam bardzo uśmiechały się te odwiedziny, ale że były koniecznymi dla zachowania światowej przyzwoitości. Szczególne wrażenie uczyniło na mnie mieszkanie Wujostwa. Dwór to był obszerny, widocznie zamożny kiedyś a nawet bogaty, ale dziś, z każdego jego kąta wydobywała się ruina. Murowane słupy mające zdobić sztachety, opadały z tynku i świeciły czerwoną nagą cegłą: dom obszerny o suterynach i balkonach wspartych na lekkiej kolumnadzie, miał dziury w dachu i wschody połamane po których trzeba było stąpać ze wszelką ostrożnością. Na dziedzińcu pozostał tylko ślad szerokich i gracyowanych znać dróg wiodących od bramy do podjazdu: na zaniedbanej i bujnymi chwastami porosłej murawie, pasły się stada gęsi i kaczek, a przed oknami o ściany domu ocierały się stworzenia o niewymawianem w salonie imieniu.

Wewnątrz domu minione bogactwo sprzeczało się również z obecnym upadkiem. Na każdym kroku czuć tam było łataninę, i zapobieganie na tle których boleśnie prawie odbijała pretensja do pokazania czegoś, czego już nie było. Pomiędzy tem otoczeniem zobaczyłam znowu Rozalję, a zuchwała jej pokora i wulkaniczny spokój, rzuciły mi się znowu w oczy. Spozstrzegłam jednak w twarzy jej coś czego nie widziałam wprzódy. Były to pomiędzy cieniami ślizgające się promienie, dobre uczucie jakiegoś wychodzącego z piersi i błyszczące w oczach nieudaną słodyczą. Zmiany te szybkie jak mgnienie oka ale dostrzegalne zachodziły w Rozalji wtedy, gdy spoglądała na swe młodsze rodzeństwo które otaczało ją nieustannie i garnęło się do niej daleko więcej niż do matki. Nie widziałam aby pieściła dzieci lub przemawiała do nich pieścizotliwie, a jednak widocznem było, że panowała nad ich sercami. Spojrzenie jej spotykało się często na jasnowłosych ich głowach ze spojrzeniem p. Rudolfa. Był to zdaje się jedyny punkt na którym zchodziły się i łączyły serca ojca i córki. Tylko że w oczach pierwszego malowała się większa jeszcze niż zwykle bolesć, połączona z upokorzeniem, które wraz powieki ku ziemi chyliło; we wzroku drugiej migotała troskliwość i niby gorączkowa jakaś obawa. Pani Rudolfowa w stroju odbijającym pretensjonalnością od surowej wełnianej sukni najstarszej córki, siedziała na kanapie częstując moją matkę uśmiechami i konfiturami podawanymi na wyszczerbionych spodkach, przez lokaja ubranego w mocno wytarty surdut i wyglądającego bardzo na parobka!

Mimowoli pomyślałam, iż stosowniejszym do otoczenia traktamentem, byłyby proste jakie i niekosztowne owoce a mniej śmieszna usługa, wiejska czysto ubrana dziewczka. Ale wujenka nie miała znać siły wyrzec się konfitur i lokaja, dwóch przedmiotów, które zwyczaj wskazywał uważać za konieczne warunki przyzwoitości.

W godzinę dopiero po przyjeździe naszym, wbiegła do bawialnego pokoju młodsza siostra Rozalji

szesnastoletnia Madzia. Podobna była do Rozalji bardzo, tylko twarz miała pogodną i otwartą, swobodny uśmiech na ustach, i poranne wesele we wszystkich ruchach. Ubrana była w prostą ale czystą perkalikową sukienkę z białym fartuszkim i krótkimi rękawkami, które ukazywały ramiona i ręce opalone z wyraźnymi śladami pracy.

Pani Rudolfowa zarumieniła się na jej widok, a gdy dziewczę przywitało się już z nami rzekła:

— Gdzieżeś to była Madziu? czemu nie pośpieszyłaś powitać ciotkę i kuzynkę?

— O, pilno mi było ujrzeć ciocię i poznać kuzynkę Wacławę, odpowiedziała rumieniąc się Madzia, ale musiałam pierwej dokończyć upieczenia ciasta do herbaty, boby się było popsulo.

Silniejszy rumieniec wytrysnął na śniadą twarz wujenki.

— Moje dziecko! zawołała, po cóż ci było to robić? Wszakże kucharz.....

— Moja matko! przerwała Rozalja, wiesz dobrze że ja to nakłaniam Madzię do prac gospodarczych....

Wujenka nie odpowiedziała. Znać było, że Rozalja wywierała i na nią wpływ przeważny.

W środku wieczora Madzia zniknęła znowu z pokoju.

— Gdzie jest Madzia? spytał ktoś z obecnych.

— Posłałam ją do spiżarni, aby wydała jutrzejszą prowizję dla czeladzi, odpowiedziała Rozalja.

Wujenka wrzusiła ramionami wyraźnie zmieszana i zawstydzona:

— Jest to kaprys Rózi... wyjąkała.

— Moja matko! ozwała się wnet Rozalja, czy doprawdy znajdujesz, że kaprys tylko każe mi przyzwyczajając Madzię do zajęć domowych i do zamiłowania, w pracy? Czy doprawdy tak znajdujesz? Jabym sądziła, że to nie kaprys ale doświadczenie..

Wujenka zamilkła znowu a p. Rudolf podniósł wzrok i utkwiał go w córce z wyrazem, jak mi się zdawało wdzięczności. Rozalja widziała to spojrzenie, ale nie odpowiedziała żadną tkliwszą oznaką. Nie widziałam, aby się kiedy zbliżyła do niego a gdy zwracała ku niemu mowę, dźwięk jej głosu nabierał ostrzejszych tonów, a powieki głębiej zapuszczały się na oczy, jakby nie chciała aby najmniejszy promień pociechy lub miłości, upadł z nich na szlachetnie zarysowane, ale dziwnymi bruzdy porane czoło ojca. Wróciwszy ze spiżarni z pękiem kluczów u paska, Madzia mówiła do mnie:

— Rózia nauczyła mnie szyć bieliznę i suknie i odtąd sama sporządzam ubrania dla siebie i rodzeństwa. Doglądam też pralni i folwarku i w kuchni nie rzadko bywam mianowicie, gdy spodziewamy się gości, i trzeba coś lepszego od stołu sporządzić....

— Mama życzyła sobie, szczebiotało dalej wesołe dziewczę, abym uczyła się po francuzku i grać na fortepianie, ale Rózia sprzeciwiła się temu i powiedziała, że daleko lepiej będzie jeśli nauczę się szyć, gotować, doglądać gospodarstwa bo jej samą francuzki język i muzyka na nic się przydały odkąd ojciec stracił cały prawie fundusz...

Tu urwała nagle i zarumieniła się mocno, jakby spozstrzegła, że wygadała się z czemś, o czem niepowinna była mówić. Spojrzała na ojca, coś dziwnego zamigotało w jej pogodnych oczach, rzuciła się ku niemu z gwałtownością dziecka i ucałowała obie jego ręce. W bladych źrenicach pana Rudolfa błysnęły iskry, przycisnął głowę córki do piersi. Rozalja zwróciła się nagle do mojej matki, jakby nie chciała lub obawiała się widzieć pieścizotę młodszej siostry z ojcem.

Obejście się jej ze mną było takie same jak w Rodowie. Z ist jej ani razu nie wyszło imię p. Agenora. Wujenka tylko parę razy wspominała o nim przy czem ruchliwe jej oczy utkwily się we mnie z uśmiechem.

Opuściłam dom Wujostwa z ciężkim sercem i głową pytań pełną. Jak widma niedostatku wylazące z kątów klóciły się z przedrzeźnionymi oznakami bogactwa, tak i serca mieszkańców domu tego zdawały się składać akord fałszywy z wyskakującymi zewsząd ostreimi tonami. Żona tam nie była żoną, córka nie była córką. Jakaś przepaść nieprzebrana leżała widocznie między upokorzonym ojcem a zbuntowanym dzieckiem. Kto ją wykopał? kto oponą wstydzącej się siebie nędzy okrył ten dwór bogaty niegdys? Kto rzucił bolesny dramat w życie tej rodziny dziś tak rozstrojonej? Czyja ręka wymalowała ten obraz zrujnowanego domu, pełnego zrujnowanych egzystencji o którym nie mogłam myśleć bez tajemnego drżenia. A jednak po tle tego i innego dramatu przemykały świetlane promienie, pomiędzy grozami zdruzgotanych cegieł i dachów, kwitły kwiaty pociechy. Do piersi upokorzonego ojca rodziny, tuliło głowę dziewczę niewinne, posępne oczy Rozalji migotały pięknym blaskiem spoglądając na świeżość młodego rodzeństwa. Raziły mię te przeciwności otchłani z niebem. Nie znałam jeszcze wówczas tej prawdy życiowej, że nigdy nie ma w zupełności ni nieba ni piekła. Pośród najgłębszych cieni odkryjesz zawsze choć słaby promyk światłości, na jasnym tle musi się choć jedna wlec chmurka szara. Człowiek nie może być absolutnem złem, ani absolutnem dobrem; może się tylko zbliżać do jednego lub drugiego, a zawsze z jednego czy z drugiego zostaje mu by malutka cząstka. W tej wiecznej mięszaninie leży dramat życia, zagadka czynów i prawda ducha ludzkiego.

Nie umiałam jeszcze wtedy zdawać sobie sprawy z psychologicznych na ludziach spostrzeżeń i myślałam tylko, że p. Rudolf musiał być koniecznie kiedyś szlachetnym i dumnym człowiekiem, Rozalję wierzącą i dobrą dziewczicą. Czytałam to na wyniosłem czołe i w myślących źrenicach pierwszego widziałam to w miłości dla młodego rodzeństwa dągiej.

Cóż więc uczyniło pana Rudolfa chmurnym i upokorzonym, a wlało w Rozalję ową zuchwałą pokorę i zjadliwą słodycz, która tak dotkliwie dała mi się poznać nieraz?

Tu przyszły mi na pamięć słowa słyszane niegdys od matki; „Świat i jego zwyczaj... życie i jego konieczności...”

Przykre wrażenie jakie wyniosłam z domu państwa Rudolfów, zatarło się zupełnie nazajutrz w czułości się odwiedzin u nas pani S., córce jej i syna.

Z pannami S., byłam już ściśle sprzyjańcioną mianowicie z Emilką. Miały one brata starszego o nich o lat kilka, a którzy powierzchownością swą dawnie przywodził mi na myśl ślimaka, najwstrętniejsze dla mnie stworzenie. Chudy, żółto-blady, z długą twarzą i włosami niepewnego koloru, miał zwyyczaj nosić ubranie w szare jakieś poprzeczne pretekty które bardziej jeszcze zwiększały podobieństwo jego do ślimaka. Flegmatyk, niezmiernie powoli mówiący, ożywiał się zawsze w mojem towarzystwie tak że wązkie i blade usta jego stawały się zdolne aż do wyrazy wypowiedzieć i dwa razy uśmiechnąć się przez przeciąg jednego kwadransa, co jak mówił było u niego niesłychaną osobliwością. Za każdy podobnym wysiłkiem wymowy, wpatrywał się we mnie długo i upornie z nad szafirowych okularów które nie wiem dla czego nosił, chcąc bowiem czemukolwiek uważniej przypatrzeć się, wydobyw z nich zawsze jak mógł swoje blade-żółte oczy. Młomówność ta i flegma młodego pana S., nie pochodziły jak mi się zdawało z ograniczności umysłu bo wyraz twarzy jego i oczu był dość myślący, tylko przykry jakiś, zimny, zamknięty w sobie a niekiedy migocący złośliwością wnet tajoną i pochłanianą. Zaraz przy pierwszej bytności w domu pani S. ujrzył mię stosunek pana Henryka do siostr. Zup



nie inaczej przedstawiałam sobie uczucia i stosunki rodzeństwa. Wprawdzie, była tam zachowana wszelka przyzwoitość, ale ściśle tylko przyzwoitość bez najmniejszej iskierki przywiązania, owszem z pewną domieszką złośliwości ze strony brata a nieśmiałości ze strony sióstr.

— Mało przestajemy z Henrykiem, mówiła mi raz Emilka, on tak zajęty gospodarstwem.

— Objął zarząd majątku zaraz po śmierci ojca, do dała Zenona, nigdy się nie wydała z domu, nie trzyma oficjalistów i do tego stopnia jest zawziętym gospodarzem, że nawet do spiżarni zagląda często i gderze na pannę apteczkową gdy za wiele cukru lub mąki w domu wychodzi.

— A mama wasza czy nic niema przeciw wtrąceniu się p. Henryka do kobiecego gospodarstwa? spytałam.

Emilka dziwnie się uśmiechnęła.

— Mama Henrykowi nic za złe mieć nie może, odrzekła, od dzieciństwa kochała go i pieściła niezmiernie i daleko więcej jak nas....

Smutne to było zeznanie i smutek drżał w głosie którym było uczynione.

Gdzieindziej w sąsiedztwie słyszałam jak śmiano się z p. Henryka, nazywając go skąpcem i liczy-krupą. Doszło też do moich uszu parę zarzutów uczynionych jego rzetelności w interesach pieniężnych. Powiadano, że był nad miarę cheiwy i dziwiono się, że wadę tę posiada tak młody człowiek.

— Dostał ją w spadku po ojcu, uczynił ktoś uwagę i dodał, zobaczycie państwo, że skrzywdzi siostry i da im bardzo niewielkie posagi.

W istocie pomimo blasku jakim świecił dom pani S., nieuchodziły za bogate panny i dobre partje; powiadano że dotąd żadna z nich nie miała ani jednego konkurenta. Uważałam u p. Henryka dziwny sposób poruszania rękami, którego używał często jakby instynktownie lub z przyzwyczajenia. Ruchem tym palce jego roztwierały się szeroko i wnet mocno się zaciskały niby chwytając w powietrzu niewidzialny jakiś przedmiot i ściskając go w dłoni. Widocznem to było szczególnie wtedy, gdy wyciągał po coś rękę albo gdy się zamyślił. W ostatnim razie otwieranie się i zaciskanie palców, następowało po sobie z taką szybkością jakby było dziełem ukrytych sprężyn. Bądź co bądź p. Henryk nigdy nie był tak wymownym, jak gdy rozmawiał ze mną, i w nikogo nie wpatrywał się w taką uwagę zsuwając okulary aż na środek długiego nosa. W sąsiedztwie zaczynało mówić, że się we mnie rozkochał i że myśli starać się o moją rękę. W istocie, przyjeżdżał do nas dość często a nawet raz przywiózł mi piękny bukiet, czemu wydziwić się nie mogły jego siostry, mówiąc ze śmiechem, że jako żywo nie widziały w bracie podobnej względem kogokolwiek galanterji.

Śmieszyla mnie niewypowiedzianie myśl, że gdybym chciała mogłabym zostać żoną Ślimaka. Myśl tę wypowiedziałam raz mojej matce. Uśmiechnęła się, ale potem skinęła parę razy głową i rzekła z namysłem.

— A jednak pan S. jest dobrą partją.

— Było to właśnie przy stole i jadłyśmy wety: parsknęłam głośnym śmiechem i zawołałam:

— O, moja mamó! nie oddałabym za tę dobrą partję tego pięknego ananasa, ani nawet cząsteczki tej gruszki którą zajadam.

Na widok mojej wesołości, twarz matki jaśniała zawsze pogodą i zadowoleniem. Powiodła i teraz rękę po moich włosach i rzekła:

— Bo ty, dziecko, na gwiazdzie jeszcze wysokiś jeździsz i z niej na ziemię patrzysz!

— To prawda, odpowiedziałam, ale też i nie mam wcale ochoty zstępować z niej na ziemię.

— Czoło mojej matki zachmurzyło się. długo pa-

trzyła na mnie. W oczach jej czytałam myśl: abys tylko zamiast zstąpić, spaść nie musiała!

Gdy po owęj wizycie u państwa Rudolfów, rodzina S. przybyła do nas w odwiedzin i gdym z przyjaciółkami memi wybiegła do ogrodu, Emilka szepnęła mi pomiędzy dwoma uściśnieniami.

— Czy wiesz, co mówią o tobie w sąsiedztwie? że wychodzisz za mąż. Zgadnij za kogo?

Zarumieniłam się po uszy i zamknęłam Emilce usta pocałunkiem.

— No, zgadnij! zgadnij! wołała ze śmiechem drażniąc się ze mną.

— Za pana Agenora! zawołała nakoniec Zenona ulitowawszy się może nad moim zmięszaniem.

Rumieńce uderzyły mi do twarzy.

— I po cóż się rumienisz? rzekła całując mię Emilka, to świetna partja!

— Dla Boga! zawołałam, nie mówcież mi przynajmniej o partji

— No, taki to widzisz zwyczaj, rzekła serjo już Zenona, że gdy się mówi o jakim marjażu, to się ma naprzód wzgląd na partję: nie idzie zatem aby i serce nie grało roli...

Zaczęłam wymawiać się, że pogłoski były fałszywe.

— Pan Agenor stara się o ciebie, to rzecz wiadoma i uznana prawa Emilka, odniosłaś zwycięstwo nad niepokonanym dotąd przez nikogo lwem naszej prowincji. Nie słyszałam nigdy aby się kimkolwiek zajmował. Powiadano wprawdzie, że starał się kiedyś o Rozalję ale jakoś się to rozchwiało...

Poczułam nagłe ukłucie w serce.

— Starał się o Rozalję? powtórzyłam prawie machinalnie.

— Stara to historia, odpowiedziała Emilka, byliśmy jeszcze dziećmi gdy się to działo i trochę tylko zasłyszałyśmy o czemś podobnem. Powiadają że Rozalja i dziś nim zajęta ale.. może to plotki.

Smutno mi się jakoś zrobiło i straszno. Zamyślenie w jakie wpadłam przerwało mi nagłe pytanie Emilki:

— Powiedz mi Waciu, co się dzieje z twoim kuzynem p. Franciszkiem?

Przy tych słowach oczy jej wlepione w moją twarz zaświeciły niezwykle. Niepamiętam już co jej odpowiedziałam, ale po chwili spostrzegłam, że z kolei Emilka zadumała się i szła obok mnie ze schyloną głową, jakby czego szukała w trawie.

W środku wieczora Zenona rzekła do mnie.

— Szczęśliwa istoto! wyjdiesz wkrótce za mąż zostaniesz panią swego domu i nie będziesz się nudziła. O, gdyby tylko ktokolwiek postarał się o moją rękę, zaraz bym za niego poszła.

— Jakto? zawołałam, poszłabyś za pierwszego lepszego, choćby za człowieka którego byś nie kochała?

— Z pewnością, byle zostać już raz swobodną i zobaczyć choć kawałeczek innego jakiego świata jak nasza okolica.

— Co do mnie ozwała się Emilka, choć nudzę się też w domu śmiertelnie, nie zdecydowałabym się nigdy wyjść za człowieka, którego bym nie kochała. Ot wiecie co? przedź bym do klasztoru wstąpiła.

Zaśmiałyśmy się obie, ale Emilka nie śmiała się.

— I dlaczegoż tak śmiejecie się z tego co powiedziałam? wyrzekła serjo, mnie ta myśl często do głowy przychodzi. Prawda, że w klasztorze smutno, ale i na świecie czyliż nie ma smutków różnych? W klasztorze niewola, ale czyż i na świecie jej nie ma?

— Nie można zaprzeczyć, że to myśl romantyczna, także zupełnie serjo zaczęła Zenona; czytałam nieraz o klasztorach i zrozpaczonych bohaterkach romansów, które zostają zakonicami. Nie jest to bez uroku. Przedstawcie sobie długie sklepione ko-

rytarze oświetlone w nocy bladą gdzieś w głębi drżąca lampą; chóralne śpiewy rozlegające się wśród ciszy grobowej w posępnych murach kościoła, dzwonki odzywające się z regularnością zegaru niby pogrzebowa muzyka przygrywająca skonowi każdej godziny; blade twarze zakonnice półokryte czarnym welonem i mknące na tle murów okrytych pleśnią starożytności! Wszystko to przecie niezwykle, poetyczne, romantyczne, fantastyczne, a w każdym razie inne jakieś jak nasze woskowane posadzki, morowe obicia ze złoconemi szlaczkami na ścianach i klawisze fortepjanów, których sam widok przerażenie we mnie wzbudza. Wiesz co? Emilko, nie dziwię się wcale twój myśli wstąpienia do klasztoru, zawsze to jakoś rozmaitość i niezwykłość.

Gdy Zenia wygłaszała tę tyradę, ja uśmiechałam się a gdy skończyła rzekłam:

— Czy wiesz Zeniu, że miałam na pensji koleżankę która wychylała ocet szklankami, aby jak mówiła copędź umrzeć, ale gdy raz głowa ją zabolala zlekka się śmiertelnie i odtąd ani patrzeć na ocet nie chciała.

— I cóż ztąd?

— To, że twoje marzenie o klasztorze jest bardzo podobne do marzeń mojej koleżanki o śmierci....

— Jakto?

— Tak, że koleżanka moja nie chciała uczyć się i nie nie robiła, nudziła się zatem a w dodatku była egzaltowana....

— Rozumiem teraz! zawołała Zenia i zaśmiałyśmy się wszystkie serdecznie.

W tej chwili zbliżył się do mnie p. Henryk i patrząc na' mnie z nad okularów, w przeciagu pięciu minut wymówił prośbę abym raczyła zagrać. Prośbę tę zresztą słyszałam zawsze i wszędzie. Każda gospodyni domu i każdy młody człowiek mieli sobie za obowiązek prozić o muzykę panny o której wiedzieli, że grać umiała. Odbywało się to z punktualnością nie dopuszczającą żadnego uchybienia. A gdy tak molestowana panna siadała do fortepianu i grać zaczęła, ogólna uwaga towarzyszyła jej stale przez pierwsze trzy takty, poczem zaczynały się rozmowy ciche i coraz głośniejsze i zupełnie głośne nakoniec, a kończyło się tem, że artystka traciła stopniowo całe swe audytorjum. Niekiedy tylko jakim wypadkiem zamieszany do towarzystwa meloman, słuchał ją do końca przytulony w kącie, albo konkurent miał sobie za powinność pozostać nieruchomie naprzeciw grającej sentymentalnie, patrząc na nią w milczeniu i myśląc o niebieskich migdałach albo o innych wcale dźwiękach jak fortepjanowe. Gdy nareszcie panna grać przestawała, ze wszech stron dawały się słyszeć oklaski i pochwały z takim zapalem dawane, jakby obecni ani jednej nutki nie uro-nili z odegranej kompozycji, i jakby muzyka była nieodzowną potrzebą ich życia i nieopisanym ich serc zachwytem. Uważałam zawsze, że tylko owi rzadcy wielce melomani, owe białe kruki z uwagą i w kącie salonu słuchający muzyki, skapi bywali w oklaski i pochwały, a czasem taką mieli minę jakby połknęli dobry haust octu albo zjedli całą tyżkę musztardy.

Kiedy pan Henryk wierny salonowym tradycjom poprosił mnie o muzykę, nie mogłam odmówić prośbie mego uznanego przez całą okolice adoratora, przytem będąc dobrze wychowaną panną nie czułam się w prawie rozmijania się z jednym z kardynalnych praw zapisanych w statucie zwyczajów, usiadłam przy fortepianie i grałam.

Niestety! nie grałam już moich dawnych drogich sonat Beethowena ani Mendelshona Barkaroli, bo od dawna się przekonałam, że sprawiają one na towarzystwie skutek maku zsuwającego słodki sen na powieki. Wspaniale za to wygrywałam porywające arje Włoskie i rozgłośniej brzmiące walce lub mazu-



ry. To też z klawiszów nie wychodziły jak dawniej roje myśli nowych — i niezostawiały po sobie w mej głowie świetnych szlaków gwiazdzistych. Palce moje biegały po klawiaturze ku ukazaniu obecnym wprawy jaką posiadałam, a odrywając mnie od towarzysztwa pomagały mi marzyć.

Na prośbę pana Henryka grałam jakiegoś długiego walca a w pół namiętne, wpółskoczne jego tony uniosły myśl moją daleko. Na falach muzyki popłynęła ona nad polami i lasami, a z pod błękitnego nieba spuściła się nad pałacy dach stojącego śród rozłogu pałacyku.

Zawisała nad nim i patrzyła jak na balkonie stał ktoś, ktoś blade i wysoki, o wielkich szarych oczach i długich angielskich faworytach, przecierał chusteczką szkielek lornetki i... myślał o mnie.

### XXXI.

Lato zbliżało się ku końcowi, pierwsze dni Sierpnia nadeszły skwarne z iskrzatem sklepieniem nieba i ze śpiewami żniwiarzy. Pan Agenor coraz częściej bywał u nas i ani jednej już w sąsiedztwie nie było osoby, któraby nie posiadała pewności, iż lada dzień otrzyma mniej więcej w podobny sposób sformułowany bilet „Pani X. zaprasza państwa X na ślub córki swjej Wacławy, mający odbyć się dnia X w kościele X. z panem Agenorem W.” Matka moja otrzymywała już z wczasu powinszowania czułych sąsiadek, składane w formie miodowej, z której mimo ich woli wyciekała na zewnątrz żółć, ja dręczona i zachwycona bywałam zarazem żartobliwymi prześladowaniami towarzyszek. Jedne z nich przyrzekały być mi drużniami, inne marzyły już o toaletach w jakich ukażą się na mem weselu. Zenia mi mówiła „uproszę mamy, aby mi pozwoliła pojechać z tobą za granicę, bo ani wątpić, że pan Agenor zaraz cię po ślubie do Paryża powiezie.” Oczy Emilki coraz serdeczniej patrzyły na mnie a były już najserdeczniejsze, gdy spoglądały na twarz Franusia coraz bledszą, coraz więcej głębokim zachodzącą smutkiem.

— On ciebie kocha! szepnęła mi raz cichutko na ucho.

Zapartałam się żywo wszelkiego podobnego przypuszczenia, choć w grunie byłam przekonana o jego prawdziwości. Biedny kuzynek nie był jednak natargczywy w okazywaniu mi swego przywiązania i swego smutku. Przyjeżdżał do nas rzadko, coraz rzadziej i zadawał mi się zupełnie napozór przynajmniej przyjacielską ze mną pogadanką. Co tam się działo w głębi jego cichego i nieśmiałego serca, nie zastanawiałam się nad tem bardzo. Byłam cała tak zajęta myślą o panu Agenorze, iż każda inna myśl coraz mniej miała przystępu do mojej głowy. Niekiedy nawet pragnęłam podrażnić się z kuzynkiem. Wtedy sama nie wiem jakim sposobem i całkiem bez zastanowienia, rzucałam na niego bardziej przeciągłe niż zwykle spojrzenie, albo dłużej i żywiej z nim rozmawiałam. Za każdym razem blada twarz Franusia rozpromieniała się i oczy jego błękitniały jak niezabudki: ale gdy potem wracając do moich ciągłych w owęj porze marzeń, oddalałam się od niego lub nagle się zamyślałam, zamyślał się także stawał bardzo smutny. Natenczas Emilka jeśli była obecną, zbliżała się do niego i uważałam parę razy, że głos jakim doń przemawiała, bardziej był dźwięczny i miękki niż zwykle, a smutek Franusia jak w zwierciadle odbijał się w jej twarzy.

Jeden tylko p. Henryk zdawał się powątpiewać o prawdziwości pogłosek krążących po okolicy. Stawał się przy mnie coraz mówniejszy, coraz niżej zsuwał na nos okulary aby na mnie patrzeć, gdy grałam opierał się naprzeciw mnie o fortepjan, i z wlepionymi we mnie oczami wysłuchiwał aż do końca mojej muzyki, tak jak to mieli zwyczaj czy-

nić wszyscy jakich kiedy widziałam konkurencji. Emilka ze śmiechem mi opowiadała, że brat jej od pewnego czasu bywał tak roztargniony, iż parę razy dopuścił się pomyłek w dodawaniu cyfr na gospodarskich regestrach, i od miesiąca ani razu nie kontrolował panny apteczkowej z ilości wydanych krup i cukru. Bądź co bądź, był on podobno jedynym człowiekiem, który zdawał się odtrącać od siebie mniemanie, że pan Agenor stara się o mnie i że wkrótce zostanie jego żoną. Mniemanie to było zupełnie pewnością dla całej okolicy, niemniej jednak nie miało jeszcze żadnych rzeczywistych i widocznych podstaw. Pan Agenor nie oświadczał się, a nawet niekiedy postępowanie jego było tak dziwne, iż można by przypuścić, że nie zamierza uczynić tego wkrótce.

Bywały tygodnie, w których codziennie niemal dzielne jego gnadosze i zgrabny kabriolet zatrzymywały się przed naszym gankiem, bywały inne w których nie widziałyśmy go ni razu. Niekiedy znajdując się ze mną, nie odstępował mi prawie na krok, osypywał mnie gradem jemu tylko właściwych spojrzeń, rozlewał w koło mnie w obfitości ową woń upajającą, która tęgła z pół-słówek jego zawierających całe tony uczuciowej treści. Czasem przeciwnie stawał się zimny, zamknięty w sobie, milezący, a wtedy na czole jego leżała owa zmarszczka tajemnicza, której nie lubiałam, bo zdawało mi się że kryła w sobie coś niedocieczonego a nieprzyjemnego dla mnie.

Było to jakieś wahanie się dziwne, niby niepewność siebie zadziwiająca w tak wytrawnym i śmiałym człowieku. Można było w niej widzieć trwogę kochającego serca, które obawia się wymówić ostateczne słowo, aby nie usłyszeć zabójczego dlań wyroku, lub też walkę dwóch sprzecznych uczuć kłócących się w piersi i targających każde w inną stronę.

Jam w chwiejności serdecznych oznak pana Agenora widziała pierwszą. Przydługa czasem jego nieobecność, posługiwała tem lepiej mojej wyobraźni do przystrajania go w szaty ideału, a chwilowe oziębiania się i zapadania w zadumy, brałam za nieśmiałość względem mnie lub rozmarzenie.

Ale matka moja z innej znać strony na tę rzecz patrzyła, bo spostrzegałam niekiedy w jej twarzy wyraz niepokoju, a gdy widziała mnie z panem Agenorem zatrzymywała na nim wzrok swój tak, jakby pragnęła z całej siły w głąb duszy mu zajrzeć.

Od babki Hortensji przybywali coraz częstszy posłańcy z tajemniczymi listami, których matka moja nie pokazywała mi nigdy, ale po których odczytaniu fałdy zagłębiały się na jej czole, a w oczach grał niepokój.

Pewnego dnia nakoniec wtoczyła się na dziedzińiec ciężka sześciokonna karetka, sążnisty lokaj w czarnej ze srebrem liberji zsiadł z koźła i podał ramię wysiadającej z powozu babce Hortensji.

Matka moja powitała przybyłą z przywiązaniem i właściwym sobie wdziękiem, ale zarazem i z tą godnością, której zdawała się strzedz pilnie w obejściu się swem z ciotką. Babka Hortensja wyprostowana jak zwykle, z szeleszczącym ogonem u sukni i srebrnymi loczkami z każdej strony koronkowego czepca, usiadła na kanapie, ujęła obie moje ręce i kilka sekund wpatrywała się we mnie z uwagą. Potem w zimnych i surowych jej oczach, pokazało się na chwilę coś jakby zadowolenie i zwracając się do mojej matki wyrzekła:

— Wacława wypiękniła.

Matka moja uśmiechnęła się na to, tak jak tylko szczęśliwe matki uśmiechać się mogą, ale babka Hortensja wypuściła z dłoni moje ręce, wyprostowała się bardziej jeszcze i rzekła dość oschle

— Nie pojmuję Matyldo, dla czego p. Agenor nie oświadczył się jeszcze o Wacławę. Przyjechałam aby rozmówić się z tobą o tem.

Zmieszaly mnie niewypowiedziane te słowa i co prędzej wybiegłam z salonu, aby ukryć rumieńce które biły do twarzy, łyzy, co się cisnęły do oczu, a przytem nie przeszkadzać rozmowie, której musiałam być celem.

Z pół godziny przebiegałam alee ogrodu mocno wzruszona, a gdy wracając stanęłam na progu salonu posłyszałam jak bakka Hortensja mówiła:

— Taki jest mój projekt Matyldo i niezwłocznie przyprowadzę go do skutku. Trzeba aby on zobaczył Wacławę w całym blasku jej piękności: aby ta oznaką przychylności mej dla was, upewnił się co do moich względem Wacławy intencji.

Moja matka poniosła do ust rękę swjej ciotki. Ja coś zapałam ciekawością dowiedzenia się o co chodziło. Wkrótce ciekawość moja zadowolona została. Matka moja rzekła do mnie;

— Babcia Hortensja jest tak dobrą, że chcąc abyś się zabawiła i ukazała w świecie, wyda w Rodowie wielką tańczącą zabawę.

Serce poskoczyło mi z radości. Poraz pierwszy w życiu pochwyciłam obie ręce Babki i ucałowałam je gorąco. Wąskie i suche jej usta po raz pierwszy także dotknęły mego czoła. Była to łaska jaką oprócz pani Rudolfowej nie widziałam aby babka Hortensja okazała komukolwiek.

Po chwili matka moja zapytała o babkę Ludgardę.

— Została w domu. Nie mogła rozstać się ze swemi kanarkami, odrzekła oziębło.

Po obiedzie lokaj przyniósł koszyczek pełen białej bawełny, a długie białe palce mojej babki rozpoczęły wyrabianie frywolitków. Zajęta swoją ulubioną robotą podnosiła wzrok niekiedy i patrzyła na mnie uważnie. Widocznie jednak nie miała mi nic do zarzucenia.

### XXXII.

W parę dni potem zjechało się do nas niespodzianie ze dwadzieścia osób z sąsiedztwa, pomiędzy którymi było kilka panien i kilku młodych ludzi. Po herbacie matka moja usiadła do fortepjanu i zagrała kadryla. Pan Agenor który dnia tego gorąco mi assistował, zaprosił mnie do tańca a vis-à-vis stanął Franus z Emilką. Po kadrylu nastąpił walec potem polka i mazur, ośm par młodzieży ochoczo tańczyły i improwizowana zabawa wybornie się udawała. Z pośród panien Zenia S. najbardziej ożywioną była. Nie odstępował ją na krok? prawie jeden z młodych sąsiadów świeżo przybyły do okolicy p. Michał C. Tego p. Michała po raz pierwszy widziałam wówczas: nie powiem aby widok jego zbyt korzystnie uczynił na mnie wrażenie. Był to mężczyzna lat trzydziestu, wysoki, barczysty z głową za małą w stosunku do wzrostu i pokrytą rudawym włosem, z okrągłymi rumianami policzkami, niskim czołem i wydetami wargami półosłoniętymi rudawym rzadkim wąsikiem. Wyraz twarzy jego okazywał pewną dobroduszość, dość pocieszenie złączoną z odcieniem pretensjonalności malującej się w układzie: blade błękitne oczy patrzyły pocziwie i otwarcie, ale zarazem mętnie jakos — niby głupowało. Przyjechał do nas pięknym powozikiem założonym czwórka roślących siwków w nowiuteńkiej uprzęży, ze służbą w dość gustownej nowiuteńkiej także liberji. Wszystko zresztą u niego wyglądało nowiuteńko. Powóz zdawał się być wieczoraj kupionym w fabryce, uprzęż wieczoraj wyszły od rymarza, lokaj wieczoraj ugodzonym i przyjętym, frak i kamizelka wieczoraj uszyte przez krawca ręce wieczoraj zapoznane z rękawiczkami. Cała wreszcie osoba p. Michała była nowiuteńka w naszym kółku. Powiadano, że po raz pierwszy wchodził w towarzystwo zwane wyższem, bo ojciec jego zebrał sobie fundusz na ekonomowaniu w wielkich jakichś



dobrach i nowiuteńko nabył dla jedynaka obszerny majątek w naszych stronach, w którym on nowiuteńko osiadłszy, szukał sobie stosunków przez które mógłby nabyć praw obywatelstwa w obcym sobie dotąd świecie. Patrzyłam na niego i na Zenię gdy tańczyli z sobą kadrylla, wydało mi się, że rażąco wyglądali obok siebie. Na pierwszy rzut oka sprzecznosc tę trudno było dojrzeć, bo Zenia nie była też ładną, policzki miała tak jak i on zanadto trochę rumiane i włosy także niepewnego koloru. Ale po bliższym przyjrzeniu się, w oczach jęj dawało się spostrzegać coś, czego w jego oczach nie było: był to jakby błysk gorącego lubo powstrzymywanego formami, życia i dowcipu, których całkiem pozbawione były bladawe źrenice p. Michała. Przytem układ jęj, wszystkie ruchy i gesta były ściśle salonowe i bardzo dystygowane, w czasie gdy p. Michał wyglądał jak Sollenita zmagła przeniesiony z księżycyca na ziemię i uczący się dopiero stawiać kroki po gruncie nieznanj sobie planety. A jednak Zenia zdawała się być zachwyconą assistencją barczystego sąsiada, który rozmawiając z nią modelował się wyraźnie na wzór innych obecnych młodych ludzi, przez co przybierał niesłychanie pretensjonalne i wymuszone pozy, tworzące pocieszny kontrast z dobrodusznoscją odbijającą się na twarzy i niezgrabnoscją rąk wprawiających go nieustannie w kłopot niewymówny.

W połowie wieczora, gdy tańce ustały na chwilę i roznoszono lody, panowie wyszli do sali jadalnej dla wypalenia cygara, może i swobodnej pogadanki; w bawialnym salonie na kanapie siedziały same poważne panie a ja poprowadziłam dla wytchnięcia towarzyszeki do moich osobnych pokoików. Zmęczone tańcem, z rozplomienionymi policzkami zasiadłyśmy na palijowych sofkach mego gabinetu. Jedne z nas ochładzały się jedząc lody, inne powiewały wachlarzami a wszystkieśmy były wesole i przestąpiwszy próg salonu, zdala od oczu starszych osób i mężczyzn, czułyśmy jakoby opadły z nas niewidzialne więzy. Ruchy stały się swobodniejsze, śmiech głośniejszy, jak to zwykle bywa w kole młodych równienniczek. Przez kilka chwil trwało zachwycanie się ogólnie memi ładnymi pokoikami, przeglądanie cacek tualetowych i ilustracji rozrzuconych po stołach. W końcu chcąc do najwyższego już stopnia podnieść dobry humor moich gości rzekłam:

— Ciesze się panie, za parę tygodni będziemy miały w okolicy wielką tańczującą zabawę.

— Gdzie to, gdzie? zawołała kilka głosów ciekawie.

— Będziemy tańczyły w szufladzie powtórzyłam.

— W szufladzie? co to jest, Wacławo? mów jaśniej zapytano ze śmiechem.

— To jest, ciągnęłam, w salonie moich babek.

— Doprawdy? w Rodowie? zawołano chórem nadzieja świetnej zabawy wielce ucieszyła wszystkie te serca, bijące z młodym ogniem pod strojnami sukniami.

— I skądże pani Hortensji przyszła do głowy myśl o wydaniu u siebie balu? spytała jedna z towarzyszek.

— Kochana babcia pragnie abym się zabawiła i po raz pierwszy ukazała się w licznej zebraniu, odpowiedziałam z pewną dumą; bo pochlebiała mi wielce myśl, że dla mojej to przyjemności ma być urządzona świetna zabawa.

— Szczęśliwa Wacławo! zaledwie okazała się w świecie już jęj nadskakują, wydają dla niej bale, starają się o jęj rękę... rzekła Zenia, która, z cechującą ją zwykle żywością chodziła po pokoju powiewając wachlarzem.

— Starają się! i któż jeszcze się stara!... zapytała inna panna.

— Ach! i kto jeszcze! Niezwyciężony lew prowincji, najświetniejsza konstellacja męskiego rodzaju na horyzoncie naszym....

— Piękny, świetny, mądry pan Agenor!...  
Wszystko to mówione było ze śmiechem.

— Moje drogie... proszę was... zaczęłam jękając się i ze wzmagającym się rumieńcem, ale nie dokończyłam bo oczy moje jakby pociągnięte niewidzialną jakąś siłą, która na nie wpływ wywierała, zwróciły się w kąt pokoju i spotkały parę czarnych, palących wlepionych w twarz moją oczów.

Nad oczami temi rysowały się brwi czarne, pod niemi pasowały dumne wargi uśmiechnięte słodko i pokornie. Była to Rozalja, która usiadła w zaciemnionym nieco kącie pokoju, jakby pragnęła co najwięcej ukryć twarz swoją od wszystkich oczu, albo obawiała się, aby jęj ciemna wełniana suknia nie dotknęła jedwabnych lub przezroczystych a kosztownych strojów towarzyszek.

Patrzyła na twarz moją upornie a po chwili ozwała się:

— Przyznacie też moje panie, że to szczęście Wacławo nad którym się unosicie, jest zupełnie zasłużone i słusznie dostało się jęj w udziale. Nieprawdaż że tak jest? O! jestem pewna, że nie inaczej jesteście przekonane, bo czyliż ciocia Matylda dóbr obszernych nie posiada, a babka Hortensja znacznych kapitałów? Wacławo zaś czyliż nie jest jedyną córką pierwszj a przewidzianą drugiej spadkobierczyni?

Wszystkie oczy zwróciły się na mówiacą. Spostrzegłam, że dwie lub trzy towarzyszeki moje z którymi byłam ściślej sprzyjażniona, zdawały się być niezadowolnione i jakby obrażone wyrzeczonemi przez Rozalję słowami.

— Moja Róziu, odpowiedziała z nich jedna, najzupełniej zgadzamy się z tobą, że Wacławo zasługuje na to szczęście, które ją przy pierwszym wstępie w świat spotyka, ale zdaje mi się iż nie pochodzi to ztąd iż jest uważaną za bogatą pannę, ale że jest miłą i dobrą....

— Nie inaczej, potwierdziło parę głosów.

Rozalja milczała z wyrazem takiej słodyczy na ustach i spokoju na czole, jakby zarzuty wymównone nie do jęj weale słów się stosowały.

— Już to trzeba przyznać, zaczęła Zenia siadając niedbale na poręczy krzesła i gestykulując żywo wachlarzem, już to trzeba przyznać moje panie, że w naszym świecie z samą dobrocią nie daleko można zajechać... Mój Boże! przecież i ja chyba złą nie jestem, a jednak dotąd ani jeden starający się nie spadł mi z nieba....

Chórem zaśmiało się kilka głosów.

— No, odezwała się z nich jedna, jeżeli się nie mylę Zeniu, to właśnie teraz niebo ci zsyła ten dar pożądany....

— Co? gdzie? wskażcie mi go? wołała Zenona ze śmiechem.

— A pan Michał, odpowiedziano.

Wargi Zeni zagięły się w pół pogardliwy, w pół zadowolony uśmiech.

— Pan Michał, wyrzekła przeciągle bawiac się wachlarzem, to dobra partja...

— Cóż? nie pogardzisz nią zapewne? zapytała z lekką ironją jedna z panien piękna blondynka o bladej cerze i wiotkich kształtach.

— Być może, odpowiedziała Zenia nie odrywając oczu od wachlarza.

— Mój Boże! ciągnęła blondynka, naucz że przynajmniej swego konkurenta właściwego użytku, do jakiego mają człowiekowi służyć jego ręce, bo jestem pewna że o nim nie wie. Upewniam cię, że ciągłe spuszczenie, podnoszenie i zacieranie rąk pana Michała, wprawia mię w stan rozdrażnienia nerwów nieznośny....

— Na szczęście, z odcieniem lekkiego szyderstwa

odpowiedziała Zenia, nie jestem tak nerwową jak ty Helenko....

— Staniesz się taką gdy przez długie sześć lat będziesz jak ja bawiła się i nudziła na przemian, odparła Helena opierając na dłoń głowę, na której ciążył ból się skarżyła.

— Ale powiedzcie mi moje panie — odezwała się Helenka — dlaczego od pierwszego naszego wstąpienia w świat, słyszymy, że mamy prawo wybierać sobie mężów tylko pomiędzy bogatymi ludźmi.

— Dla czego? odrzekła Irena panna nie zbyt ładna, bo czy jesteśmy same bogate czy nie, wszystkie przywykamy od dzieciństwa do bogactwa, któreby nam ubogi mężczyzna ofiarować nie mógł.

— A jednak może się zdarzyć przecie, że która z nas poczuje sympatję właśnie dla ubożego mężczyzny? odezwała się nieśmiało młodzieczna Zosia.

— Albo bogaci ludzie nie starają się nigdy o ubogie panny? zapytała Irena mileżąca, mimowoli spoglądając na suknię swoją najmniej kosztowną z pomiędzy wszystkich naszych ubiorów.

— Dla tego, że bywają najczęściej zrujnowani i obawiają się biedy, zabrzmiał z kątką głos Rozalji.

— A więc ozwała się poważnie Emilka, potrzeba coś wymyślić takiego coby skłoniło bogate panny wychodzić za ubogich mężczyzn; a bogatych mężczyzn do żenienia się z ubogimi pannami.

Ostatnie słowa Emilki przyjęto ze śmiechem ogólnym, jak to zwykle bywa między młodemi a wesolemi panienkami. Jedna tylko Rozalja wyszedłszy ze swego kąta, stanęła na środku gabinetu ze skrzyżowanemi na piersi rękami, i tocząc płonącem spojrzeniem po wszystkich twarzach, śmiała się właściwym sobie śmiechem ostrym a szyderezym.

— O, moje panie zawołała, jakto znać, że jesteście jeszcze bardzo młode i mało świat znacie. Robicie propozycje i układacie plany aby go zreformować, a nie wiecie, że świat jest bardzo uparty i przemienić się nie da.

Żądacie aby młode panny się nie nudziły! O mój Boże! czyliż to podobne? Przecie niewłaściwym jest aby w pięknym salonie mieszkając i w kosztownej chodząc sukni, młoda panna była czemkolwiek na serjo zajęta. A skoro niczem na serjo się nie zajmuję, to już koniecznie nudzić się musi, nieprawdaż? Żądacie aby bogate panny wychodziły za ubogich mężczyzn a bogaci mężczyźni żenili się z ubogimi pannami, wtedy gdy bogactwo jednych i drugich jest najczęściej tylko zwierchnią obsłonką, pod którą mieści się ruina, postrach śmiertelny dla wszystkich, co nie umieją dać sobie rady na świecie. Niby więc bogata panna musi koniecznie szukać sobie prawdziwie bogatego męża, a niby bogaty mężczyzna prawdziwie bogatej żony, bo inaczej zabrakłoby im komfortu. Bez komfortu zaś czyliż żyć podobna? Zresztą albow to na świecie bogaci i ubodzy ludzie mieszają się z sobą tak jak gruszki i jabłka w jednym koszu? Gdzie tam! jedni stoją po jednej stronie zakreślonej granicy, drudzy po drugiej i weale nie znają się z sobą, a jeśli się i schodzą kiedy, to dla tego aby pierwszy wzięli od drugich pracę a drudzy u pierwszych zarobili na kawałek chleba. A potem dla ubożego bogaty zostanie znowu niedostępną istotą, a ubogi dla bogatego wyrobnikiem, może uczonym, pocziwym, użytecznym, ale zawsze tylko — wyrobnikiem.



# MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońska.

(Dalszy ciąg).

Anna głowę podniosła, by odpowiedzieć — gdy Arnold pochwyił jej rękę pod stołem na znak, ażeby milczała.

— Tak — odrzekł — zatrzymam te pokoje dla siebie i dla tej pani... dla żony mojej.

— Ten pan... zaczęła Anna.

Arnold ją powstrzymał poraz drugi ścisnąwszy jej rękę.

— Ten pan? powtórzyła gospodyni zdziwiona. Jestem prostą kobietą, więc może nie rozumiem. Ale czy pani o swoim, obecnym tutaj mówisz mężu.

Arnold po raz trzeci zobaczył Annę, gdy gospodyni bezlitośnym przesywała ją wzrokiem. Anna z trwogą zrozumiała, że gdyby odpowiedziała przecząco, popchnęłaby Arnolda w skandal, który niebawem stałby się głośnym i doszedłby uszów Bianki. Więc blada z oczami w stół wlepionymi, stłumionym odrzekła głosem:

— Tak pani, mówię o moim mężu.

Gospodyni odetchnęła, uwolniona z ciężaru jakim ją uczucie przyzwitości przygniatało.

— Nie trwóż się zaklinam cię! ozwał się Arnold pochylając ku Annie, pragnąc co rychléj natrętnego pozbyć się świadka i zwracając się do gospodyni dodał głośno: Zawsze ona taka, gdy burza nadciąga. Będę się starał uspokoić ją, a gdybym potrzebował czego, to poproszę panią.

— Bardzo dobrze. Przepraszam! — odrzekła gospodyni wychodząc.

— Zemdleje! szepnęła Anna — wody trochę!

— Wody! wody! zawołał Arnold.

Bishopriggs stał skromnie na stronie w czasie obecności gospodyni, nie ruszając się z miejsca i zapomniawszy o wszystkim, zatem i o wodzie po którą teraz dopiero wybiegł z wielkim pośpiechem.

— O mój panie! złożyła Anna dłonie gdy sami zostali — postąpiłeś sobie nierozważnie bardzo. Zapytanie tej kobiety było okropne... po cóżes odpowiadał? Po cóżes mnie zmusił do odpowiedzi...

— Czyliż miałem czekać aż nam drzwi pokaże, tłómaczył się Arnold, i to w chwili gdy burza nadchodzi? — Nie dziwię się pani że masz obawę, ale jestem Godfrydowi odpowiedzialnym za bezpieczeństwo pani. W tem wbiegł pospiesznie Bishopriggs i stawiając karafkę z wodą, zawołał:

— Oto woda, świeżutka, chłodna, kryształowa! A przynoszę także i świeże nowiny. Przejeżdżała tędy cała kalwakata panów, na leśnictwo ztąd o milę drogi.

— To i cóż nas to może obchodzić?

— Aha! Owszem, owszem! Jeden z nich zatrzymał się tutaj bo goni za tą panią, która dziś sama tu przyszła. Ot, za pańską panią! Więc myślę, że to interesować państwa powinno.

Arnold spojrział na Annę.

— Czy pani spodziewasz się tu kogo?

— Tylko Godfryda. Czyliż to on?

— Niepodobna! Godfryd jest w drodze do Londynu.

— Konia oddał... nagle zawołał Bishopriggs pilnie patrząc przez okno — a toć to ów djabeł wcielony, sir Patrik!

Arnold na równe zerwał się nogi.

— Sir Patrik Lundie? zapytał.

— To jest sir Patrik! zawołała Anna skryj się za nim nadejdzie!

— Ja miałbym się kryć?

— Cóż powie, gdy nas tu razem zastanie?

Nie zapominajmy, że sir Patrik był opiekunem Bianki i sądził, że Arnold jest w drodze do swojego dziedzictwa. Znalazłszy więc go tutaj, łatwo osądzić coby o tem pomyślał.

— Gdziebym się tu można ukryć? zapytał Arnold Bishopriggsa.

— Tam! posługacz wskazał sypialnią.

— Niepodobna!

Bishopriggs syknął z niewysłowionego zdziwienia.

— Innego poszukaj mi miejsca, a nagrodzę so-wiecie!

— Chyba w komórecie mojej. Tam w końcu sieni. Arnold wybiegł pośpiesznie.

Bishopriggs domyślił się, że młoda para uciekła, że sir Patrik może być opiekunem i czynił poszukiwania.

— Nie dobrze to, moja pani, nie dobrze — odezwał więc z poufałą życzliwością do Anny — jeżeli sir Patrik był oszukany. Znam ja go, bo byłem coś tam niby, jakoby pisarzem w jego biurze,

Nagle posłyszano wrzaskliwy głos gospodyni, przywołujący Bishopriggsa. Anna więc pozostała sama przy oknie, zaniepokojona, zgnębiona. Domyślała się, że wykryto dokąd uciekła, zachodziło tylko pytanie: czy zobaczyć się z sir Patrikiem lub nie? Bo niewiadomo było, czyli przybył jako przyjaciel czy też jako przeciwnik.

## XI.

Zanim rozstrzygnęła to pytanie, drzwi rozwarły nagle i wszedł sir Patrik, wprowadzony przez Bishopriggsa.

— Powitaliśmy wszyscy sir Patrika z wielkiem uszczęśliwieniem! mówił posługacz z przesadą. Cieszymy się niezmiernie, oglądając takiego pana.

Sir Patrik obejrzał się na niego jakby na owad wyrzucony przez okno, a który naprzykrzał się znowu.

— Jakto ladaco? Czy wreszcie starasz się uczciwie zarabiać na kawałek chleba?

— Pan zawsze masz słusność! Służę uczciwie, Bóg widzi!

Sir Patrik wskazał mu drzwi. A gdy wyszedł, przystąpił do Anny.

— Wybacz pani natręctwo moje — ozwał się uprzejmie. Może mnie pani potępisz, lecz zechciej wysłuchać, a mam nadzieję, że się wytłómaczyć potrafię.

Znał Annę wprawdzie niewiele, ale pociągały go jej powaby i urok tak samo jak i drugich, ile razy znajdował się w jej towarzystwie. Gdyby był należał do dzisiejszego pokolenia, byłby się w obecnym wypadku pewnie nastroił przybraną powagą albo też wielkie udawał współczucie, sir Patrik żadnej jednak z tych ról nie przyjął na siebie, które kłam zadają częstokroć nawet pocziwym, wewnętrznym uczuciom. Był grzecznym jak zwykle dla wszystkich kobiet, ale i nie więcej.

— Nie pojmuję, co pana do mnie sprowadza zaczęła Anna — służący mówił mi, że pan jechałeś w gronie kilku panów i zatrzymałeś się tutaj.

— Tak, pani, prawda. Pozostałem się, gdy oni

pojechali dalej. I właśnie chcę pani wytłómaczyć powód moich odwiedzin.

— Proszę, zechciej pan to powiedzieć, o ile można najkrócej — odrzekła chłodno.

Sir Patrik się pokłonił. Nie uczuł się dotkniętym bynajmniej. Sumienie jego mówiło mu, że postąpił sobie zanie, tak w obec osób które w Windygates zostawił — jako też i w obec kobiety której pragnął dopomóc. Stłumił zwykłą sobie żytkę humorystyczną, spojrział na zegarek i wyrzekł:

— Mam dwa poselstwa do pani, a mam i o pewnym mówić wypadku. Na drugie jedna wystarczy minuta, na pierwsze potrzebuję dwóch minut. W całości zatem dla natręctwa mojego trzy wystarczają minuty.

Przysunął Annie krzesło i czekał, dopóki mu tak-że nie wskazała drugiego.

— A więc zaczynam — przemówił. Bytność pani tutaj nie jest tajemnicą w Windygates. Widziała panią jedna z kobiet tą drogą idącą. Myślę zatem, że wiadomość ta jest ważną dla pani. Otóż i wypowiedziałam co się dotyczy tego wypadku. Właśnie też minuta dobiega.

— Któraż z kobiet mnie widziała? zapytała Anna z zajęciem.

— Wybacz pani, ale nie mam czasu na podrzędne odpowiedzi, bo sekundy płyną. Przystąpię raczej do poleceń.

Anna milczała.

Po pierwsze, lady Lundie przesyła ukłony gubernantce pasierbicy swojej, której nazwiska ślubnego jeszcze nie wie dotąd. Chciała przybyć tu sama, by wynurzyć uczucia swoje i zapytania stosowne poczynić. Lecz potem prosiła, bym wyraził pierwsze, a zapytania uczyni sama przy nadarzonej sposobności. Nadto poleciła mi oświadczyć pani, że odtąd wszelkie dawniejsze ustać z nią winny stosunki. Spełniłem wszystko jak żądała, i otóż druga upłynęła minuta.

— Nie dziwi mnie impertynencja lady Lundie odezwała się Anna z uczuciem obrażonej godności, ale dziwię się temu, że sir Patrik takiej podjął się misji.

— Powód wyjaśnię zaraz. A teraz drugie poselstwo: Bianka oświadcza wyrazy najserdeczniejszego przywiązania: gorące żądanie poznania małżonka miss Anny, i dowiedzenia się jego nazwiska. A tęskni bardzo i niepokoi się o los pani, tak że radaby w jednej chwili kazać zaprząd do powoziku by panią tutaj powitać. Nie uczyniła tego jedynie z powodu tyranji opiekuna swojego, łącząc zatem życzenia bratowej mojej i bratanki, i składam je pani. Nadto błagam, by ten cały wypadek żadnego pomiędzy niemi przykrego nie wywołał zajścia. Pani pozostaje najzupełniejszą wolnością działania. Trzy minuty ubiegły, burza nadciąga, mam godzinę jazdy do leśnictwa. Żegnam panią!

Pokłonił się nisko i wyszedł.

Anna zawołała z gniewem. Dziękuję, sir Patrik! Nie mogłeś zabawniej swego współczucia biednej, opuszczonej wypowiedzieć kobiecie!

Silne jednakże wzburzenie przeminęło niebawem a rozsądek przedstawił jej wszystko we właściwszym świetle. Zrozumiała, że sir Patrik bawiąc tak krótko, pragnął uwolnić ją od potracania o szczegóły, dotyczące się jej pobytu w karczmie. Dał jej przyjazną wskazówkę i wyraził się względnie co do spokoju, o który mu w Windygates idzie.

Usiadła przy stoliku by list do Bianki napisać.

— Nie podołam nic u lady Lundie — pomyślała — lecz potrafię wpłynąć na Biankę, ażeby zapobiedz wszelkim pomiędzy niemi niesnaskom, jakich lęka się sir Patrik.

„Najdroższa Bianco!” — zaczęła pisać. Widzia-



— Tam sir Patrika i powtórzył mi twoje przyjazne wyrazy. Pragnę cię zaspokoić, ale zanim do tego przystąpię, zaklinam cię jako siostra kochająca i przyjaciółka najwierniejsza, unikaj z lady Lundie wszelkich kłótni co do mojej osoby. Nie staraj się także, moja najdroższa, odwiedzić mnie tutaj!... Och, jedyna moja! — „westchnęła” — czyliż kiedy pomyślałam, że ciebie będę musiała unikać? Zaciśnięła dłońmi oczy, potem znowu umaczała pióro, i pisała dalej.

Zciemniało. Gęste naciągnęły chmury. Wiatr ukołysał się na moczarach. Ciężka zaległa cisza jak przed groźącą burzą.

## XII.

Przez ten cały czas Arnold pozostał ukryty w komórce starego posługacza, rozważając nie bez goryczy to swoje przymusowe położenie.

Po raz pierwszy w życiu okrywał się tajemnicą, Dotknięty w poszanowaniu samego siebie, po dwa razy ku drzwiom poskoczył, by stanąć przed Sir Patrikiem, lecz cofnął się znowu przez wzgląd na Annę. Niepodobna bowiem było usprawiedliwić się w obec opiekuna Bianki, nie zdradziwszy tajemnicy nieszczęśliwej kobiety, do przechowania której zobowiązał się danem przyrzeczeniem.

— Och czemuż tu przybyć musiałem! powtarzał sobie siedząc na tapczanie, i oczekując rychło go odjazdu Sir Patrika z tego uwolni więzienia.

Wreszcie ukazał się anioł opiekuńczy, w osobie Bishopriggsa.

— A co? zawołał Arnold — czy mogę ztąd wyjść?

Posługacz miewał niekiedy jakoby napady głuchoty, i właśnie teraz doświadczał tego.

— Jakże się panu moja komóreczka podoba? zapytał, nie zważając na pytanie Arnolda. Cicho, wygodnie, nieprawdaż? — i spojrzął się znacząco na kieszeń paltota swojego gościa.

— A, rozumiem, zawołał tamten — obiecałem nagrodę — i podał mu kilka sztuk pieniędzy.

Bishopriggs schował je z rzewnym uśmiechem i kiwnął głową. Inny sługa byłby podziękował, mędrzec w karczmie Craig Fernie, wołał wypowiedzieć moral, na jakim przy żadnej nie zbywało mu sposobności.

— Zawsze to zawsze kobiety na przeróżne narazają wydatki. I ta pani zapewne już kosztowała немало. Gdy pan starałeś się o nią potrzeba było dostarczać kwiatków, cukierków, błyskotek...

— Dobrze, dobrze, przerwał mu Arnold powiedz mi lepiej czy sir Patrik odjechał?

— Po ślubie ciągnął dalej moralista — potrzeba kapelusików, czepeków, wstążeczek, falban, koronek. Ot, i większych jeszcze wydatków!

— A jakiegoż potrzeba wydatku, byś tych uwag zaprzestał?

— Jeżeli zaś nie ma zgody pomiędzy wami, jeżeli pan pragniesz rozłąki, jeżeli ona sięga za nadto do kiesi pańskiej, to i lepiej porozumieć się w zgodzie, aniżeli włożyć się przed kratki. Oj, oj! Pokaż mi kobietę, a pokażę zaraz i mężczyznę, który dla niej w długie zabrął, bo...

Arnold, znieczierpliwiony, posunął się ku drzwiom. — Tak, tak — odezwał się posługacz, droga jest wolna: sir Patrik odjechał, i pańska pani jest sama.

W chwili potem już Arnold był przy niej.

— Cóż pani? zapytał niespokojny. Jakaż wiadomość od lady Lundie?

— Nic takiego coby pana zająć mogło, odrzekła składając list napisany do Bianki.

— Czegóż chciał sir Patrik?

— Ostrzegł mnie tylko, że wiedzą w Windygates o mojej bytności tutaj.

— Ta wiadomość dla pani nie nader przyjemna...

— Nie lękam się niczego. Myśl pan wszelako o sobie.

— Przecież nie podejrzewają, że tu jestem?

— Dzięki Bogu, nie! Ale niewiadomo co nastąpić może, gdy pan zabawisz tu dłużej. Zadzwoń. Zapytamy posługacza jak pociągi odchodzą.

Pociemniało. Deszcz lał strumieniami. Arnold przystąpił do okna i zobaczył, że okolicę całą mgły zasłoniły.

— Piękne powietrze do podróży.

— Ależ kolęj! Pociąg odejdzie i nie zdążysz pan na czas wymagany.

Arnold chciał zadzwonić gdy w tem ponad kominkiem, zobaczył wykaz odchodzących i przybywających pociągów.

— Otóż jest czego nam potrzeba! zawołał.

Anna przystąpiła także.

— Poszukajmy! wymówiła. Gdzież pan wsiadasz? Arnold wymienił stację.

— Boże! pociąg od godziny odszedł! zawołała strwożona.

— To i cóż począć teraz?

— Weźmiesz pan powóz — odpowiedziała bez namysłu, niezważając na srogość burzy.

— Powóz? Do mnie jest mil dwadzieścia trzy.

— To i cóż to znaczy? Tutaj pan zostać nie możesz.

Zkrzyżowały się błyskawice, zagrzmiało ciężko. Arnold usiadł i wsparł głowę na rękę jakoby z postanowieniem pozostania w miejscu.

Burza się wzmagala, deszcz wiatrem gnany uderzał w okno.

— Słyszysz pani co się dzieje? Nie dostałbym teraz koni. A gdyby i były, to jakżeż w takiej nawałnicy przebywać moczary?

— Wspomnij pan na położenie nasze... po tem co powiedziała gospodyni.

— Cóż mnie słowa gospodyni mogą obchodzić?

Anna spojrziała się na niego ze dziwieniem: silniejszy jego męski umysł nie zrozumiał delikatniejszych odcieni uczuć niewieścich.

— Pani pójdiesz do sypialni, ja pozostanę tutaj jako w mojej chwilowej kwaterze.

— Możebyś pan dostał inny pokój, skoro odjechać nie możesz.

— A cóżby na to powiedziała gospodyni i Bishopriggs?

— Nie żartuj pan! zawołała Anna z niecierpliwością to nie jest chwila do żartów, i zaczęła przebiegać pokój załamując dłonie.

— Cóż panią tak niepokoi? zapytał ze zdziwieniem. Czyliż ta burza?

— Tak, burza! odrzekła sucho i rzuciła się na sofę.

— Każę podać światło i zamknąć okienice.

Anna odwróciła się nie nie odpowiedziawszy.

— Jak tylko się uspokoi to ztąd odejdę. Teraz niepodobna, wieczór zaś spędzimy jak będzie można najlepiej i Arnold mówiąc to zadzwonił.

Bishopriggs krzepił się właśnie szklanką gorącego likworu zwanego *Toddy*.

— Wstrzymaj swój język przeklęty! mruknął sam do siebie patrząc na dzwonek drzwi jego poruszony a to naprawdę uprzykrzony jak kobieta.

Dzwonek z większą jeszcze poruszył się siłą.

— Kołysz się, kołysz mrucał dalej — ale gdybyś i serce wyrzucił z siebie, to nie potrafisz szkota od jego oderwać *Toddy*. Pewnie chcą dokończyć objadu który im przerwał sir Patrik, to nie ma na znów tak bardzo pilnego.

Dzwonek po raz trzeci ozwał się ale już mocniej, niecierpliwiej pociągnięty.

— Dzwon że sobie dzwoń! Pewnie mimo miłości głód dokucza porządnie. Ha! nie ma rady jeśli trzeba, a i pić to samo, ale mimo tego na winie nie znasz się młody paniezu. Bishopriggs nie mógł Arnoldowi zapomnieć, że go obwiniał o chrzest wodny napoczętej butelki Sherry.

Krzyżujące się błyskawice raz po raz roświetlały pokój Anny. Grzmot niemal bezprzerwany przeciągał po ciemnej otchłani nizin. Arnold po raz czwarty podniósł rękę by zadzwonić, gdy znane posłyszano stuknięcie Bishopriggsa.

— Światła! zawołał Arnold.

Bishopriggs postawił na stole półmisek i zapalił świece na kominku stojące.

Anna za objad podziękowała, Arnold kosał przymknąć okienice i sam usiadł do stołu.

— Cóż robić będziemy przez wieczór cały? zapytał.

— Co zechcesz.

— A! zawołał nagle już wiem. Zabawimy się jak zabawiają się na okrętach. Przynies nam karty panie hotelowy marszałku czy kamerdynerze.

— Karty? Uchowaj Boże! Kolor czarny i czerwony to barwy piekielne. Tego rozkazu nie spełnię bo do grzechu przyczynić się nie chcę. Gra w karty to przewrotność, to...

— Jak się podoba! — odparł Arnold. Przy odjeździe dając posługaczom na piwo, będę także przewrotnym.

— To więc pan koniecznie za kartami obstajesz? odezwał się Bishopriggs z wielką nagle łagodnością.

— Tak jest.

— Nie chciałem świadczyć się Bogiem! Ale cóż poradzę? Djabeł nie śpi tylko kusi. Karty będą moi państwo, powrócę z niemi za chwilę.

Szafa w komórce jego zawierała zbiór przeróżnych przedmiotów, a zatem i karty. Szukając ich, wpadł mu w rękę ów list znaleziony w pokoju Anny.

— A! pomruknął — potrzeba zajrzeć co tam nabazgrano. Karty może zanieść kto inny.

Poczem zapalił świece, rozwinął zmięty papier, i przeczytał:

“Windygates-House

w Sierpniu 1868.

“Panie Godfrydzie Delamayn! Sądziłam, że mnie odwiedzisz bawiąc u brata, lecz nadaremnie czekałam. Postępowanie twoje ze mną jest okrucieństwem i nie zniosę go dłużej. Pamiętaj, że mnie do ostatecznej popchniesz rozpacz! Przysięgłeś że mnie zaślubisz, wierzyłam i żądam dopełnienia tej przysięgi. W obliczu Boga jestem żoną twoją a być nią powinnam i w obec ludzi, jako twoja ślubna małżonka. Lady Lundie urządza partję croquet'u, jesteś zaproszonym także, więc przybądź! Gdybyś nie przybył, bądź przygotowanym na ostateczność wszelką. Nie mogę dłużej znieść tego stanu. Godfrydzie, bądź sprawiedliwym, bądź wiernym dla kochającej cię żony!

Anna Silvester.“

— Gorące słowa! poszepnął Bishopriggs, chociaż je zwykłym tylko atramentem nakreśliła. A to drugie pismo? — i czytał dalej.

— Droga Anno! Jestem wezwany do Londynu Telegrafowali, że ojciec mój ciężko zapadł. Zawierz okazielowi tych wyrazów. Dotrzymam słowa, zaklinam się na duszę moją! Twój mąż kochający. Godryd Delamayn.

Windygates House

14 Sierpnia — godzina czwarta. W chwili ogromnego pośpiechu bo pociąg odchodzi o godzinie 4ej minut 30.“



— Hm! mruknął Bishopriggs kręcąc głową — jegomość ołówkiem chłodniej napisał. Zawsze to tak bywało na świecie od czasów Adama jeszcze. Czyliż to tamci w pokoju napisali? Silwester.. Delamayn... piękne nazwiska. Może to oni sami a może przyjaciele ich popisali te listy. Któż tam odgadnie tak zaraz! Wypowiedzieli w obec mnie i gospodyni, że są małżeństwem. Ale czemuż porzucili ten papier tak nieogłędnie?.. Zawsze ja ten dokument przechowam, bo i któż wie na co on przydać się może! — otworzył skrytkę w szafie, list włożył i zamknął ją znowu starannie.

Arnold przez ten czas powstał od objadu, przysunął stolik do sofy na której Anna spoczywała, położył na nim karty i zachęcał ją do gry wekartę.

— To pograjmy kiedy inaczej być nie może, rzekła podnosząc się z sofy, a w myśli dodała zbierając karty rozdawane przez Arnolda „czemżeż ja usprawiedliwić potrafię tę moją opryskliwość dla tego serdecznie pocziwego człowieka?

Dwóch gorszych graczy podobno nigdy jeszcze do ekarty nie zasiadło. Anna była roztargnioną i po małej chwili wyrzekła.

— Nie mogę grać dłużej! niepodobna! Wybacz pan... Głowa pała i całą mną owładnął dziwny stan... niepojęty.....

Srożąc się burza bardziej jeszcze rozstrajała jej nerwy. Przechodząc szybko po pokoju, rozważała położenie swoje i fałszywe stanowisko Arnolda, które z każdą chwilą stawało się coraz niebezpieczniejszym. Jedli objad pospołu i byli zniewoleni pozostać z sobą w jednym pokoju.

— Och panie Brinkworth! zawołała Anna składając dłonie — wspomnij na Biankę! Czy nie możemy tego dalszego sam na sam uniknąć?

— Bianka! powtórzył Arnold spokojnie — co też ona robi tam teraz?

Odpowiedź jego ostatecznie Annę zniecierpliwiła odwróciła się nagle i ku drzwiom pobięła mówiąc:

— Nie dbam już dla siebie o nic! ale dłużej kłamać nie potrafię, i uczynię com dawno powinna było uczynić: pójdę do gospodyni i wyznam jej wszystko.

Przed zajazdem rozległ się w tej chwili kół turkot. Czyliżby to byli nowi goście, w noc ciemną i taką słotą? zapytała sama siebie zatrzymując się w sieni. Jednocześnie przyszyrkutał Bishopriggs, by drzwi sienne otworzyć, posłyszawsza głos swarliwy gospodyni w grubym narzeczu szkockiem. Cofnęła się zatem do pokoju.

— Jacyś podróżni przybyli — rzekła do Arnolda.

— W taką burzę!

— Może to Godfryd! poszepnęła.

— Niepodobna! odrzekł Arnold.

W tej chwili wbiegła gospodyni do pokoju, w czepcu na bakier, z wyrazem wielkiego zdziwienia w spojrzeniu i rysach, i zwracając się do Anny zapytała:

— Zgadnij pani, kto tu przybył z Windygates?

— Któż taki? zapytał Arnold widząc że Anna nie śmie nawet słowa przemówić.

— Miss Bianka choć burza spotkała ją w drodze.

— Anna krzyknęła przeraźliwie ale że w tej chwili zagrzmiło także, gospodyni więc sądziła, że to odgłos gromu tak ją przestraszył.

— Po cóż lękać się niepotrzebnie! rzekła. Idź pani lepiej powitać miss Biankę. Ale otóż i sam nasz gość kochany. W sieni dał się słyszeć głos Bianki, Anna pochwyciła rękę Arnolda.

— Uchodź! zawołała gwałtownie popychając go ku drzwiom, potem obiedwie zadmuchnęła świece.

W tej chwili mignęła błyskawica i postać Bianki ukazała się w drzwiach wchodowych.

## XIII.

Mistress Inchbare zawołała o światło, sądząc że je wiatr zagaślił łając przytem służbę że drzwi nie zamyka. Zapalone świece ukazały zebranym Annę w objęciu Bianki przemokłej do ostatniej nitki.

Gospodyni rozwodząc nad nią żale, radziła by zaraz zmieniła odzienie, a Anna korzystając z tej chwili, obejrzała się lekliwie. Arnolda już nie było, zdołał umknąć zanim światło podano.

— Prawda! zawołała Bianka spojrzawszy po sobie, że jestem do fontanny podobną. I ciebie zmoczyłam Anno. Proszę o pożyczanie suchego ubrania.

Mistress Inchbare oświadczyła, że jej cała garderoba jest na usługi miss Bianki, tak dla niej miłego i niespodziewanego gościa.

Gdy drzwi zamknęły się za gospodynią, Bianka obejrzała się w koło:

— Ktoś przebiegł obok mnie w ciemnej sieni, — poszepnęła — czy to był mąż twój? Umieram z niecierpliwości by go poznać co rychłej. Jakżeż się teraz nazywasz najdroższa moja?

— Tego moja droga — odrzekła Anna chłodno, nie mogę ci teraz powiedzieć. Bianka spojrzała ze zdziwieniem na Annę i zapytała z czułością:

— Czy jesteś cierpiącą?

— Cokolwiek.

— Czy cię jaka nieprzyjemność od stryja spotkała, który podobno był tutaj?

— Tak.

— Mówił ci co o mnie?

— Mówił. Ale Bianco przyrzekał mi że pozostaniesz w Windygates: czemuż tu przybyła?

— Gdybyś mnie w połowie tyle kochała, ile ja ciebie — odrzekła Bianka — to nie pytałabyś oto pewno. Chciałam przyrzeczenia zaraz dotrzymać, ale nie mogłam. Dopóki był stryj i lady Lundie rozprawiała z nim o różnych małżeństwach, a służba biegła, trzaskała drzwiami, zostawałam jakby w odurzeniu. Ale gdy stryj odjechał, chmury całe pokryły niebo i ucichła rozmowa, dom stał się dla mnie pustelnią bez ciebie. Gdyby przynajmniej był Arnold, lecz pozostałam sama, samiuteńka a smutna, jak w przewidywaniu nieszczęścia. Trwożyłam się w podnieconej wyobraźni o najstraszniejsze dla ciebie następstwa. Zerwałam się więc jak szalona, i zbiegłam po wschodach... bo mnie nadludzka pędziła siła. Czy mogłam w takim stanie wytrwać dłużej? Poskoczyłam do stajen i poszukałam Jakóba. Och, to prawdziwy anioł! Kazałam mu zaprzędz kuca mojego do wolancika, i w minut kilka już byliśmy w drodze. Pocziwiec! tak się spieszył. Kucyk kochany, z wiatrem pędził jak gdyby rozumiał moją niecierpliwość. Tymczasem lady Lundie trzeźwiła się zapewne eterami różnemi. Och, moja droga nie mogę jej kochać.

Gdyśmy już byli w dolinie, deszcz zaczął padać i całe pociemniało niebo. Byliśmy już bliżej Craig Fernie, jak Windygates, mimo tego zawsze byłabym tu zdążyła do ciebie. Grzmiało, błyskało się straszliwie, inny koń byłby zapewne mniej posłuszny, ale mój kucyk tylko trząsnął główką i biegł dalej a dalej. Moczary wyglądały jak otchłań czarna. Burza całą owładnęła ziemią. Kucykowi kazałam dać owsa a potem pójdę z latarnią do stajni i pocałuję go. Jestem tu przecie szczęśliwie przy tobie, chociaż przemoczona do nitki.

Mówiąc to obróciła Annę do światła, przypatrzyła się i wyraz wesela uleciał z młodziutkiego jej oblicza.

— Domyśliłam się zawołała — że coś niedobrego

się święci, bo nie byłabyś tajemniczy robiła przedemną z najważniejszego w całym twym życiu zdarzenia. I nie byłabyś tak zimnego do mnie napisała listu. Dla czego mąż twój tak nagle wezwał cię do siebie? Dla czegoż ztąd umknął pociemku, gdy ja tu przybyłam? Czyliż lęka się czego? Och! Anno moja powiedz cóż to znaczy wszystko? Cóż stało się z tobą?

Jakby na ratunek Anny, ukazała się w tej chwili Mistres Inchbare z najpiękniejszym swoim ubraniem, Anna pospieszyła zatem drzwi otworzyć do sypialni wielce rada z tej przerwy, i biorąc świecę ze stołu wprowadziła tam Biankę.

— Przebierz się pierwój a potem pomówimy — rzekła całując ją w czoło,

Gospodyni weszła za Bianką ażeby jej posłużyć, a w tej chwili we drzwi wchodowe do pokoju zastukano.

Anna z bijącym sercem wybiegła i sypialnią za sobą zamknęła. Był to Bishopriggs.

— Czego potrzebujesz? zapytała.

Posługacz dawał jej znaki, że ma jakieś tajemne do niej zlecenie.

— Mam liścik! — poszepnął.

— Od kogo?

— Ej, domyślasz się pani dobrze! Juźci słówka miłosne od tego którego kochasz. Umieściłem go bezpiecznie, ma wygody wszelkie, jestem ojcem dla niego tak jak i dla pani. Rozumiem, rozumiem wszystko! Ta panienka co tam jest w sypialni to rywalka... no, no, już wiem! Anna nie zważając na jego paplaninę, list rozwinęła i przeczytała.

„Siedzę tu w jakiejś wędzarni pisał Arnold, od pani zależy czy mam tutaj pozostać dłużej. Nie przypuszczam by Bianka mogła być zazdrosną, zwłaszcza że nie ma do tego powodu. Pragnąłbym pobiedz do niej ale mnie zatrzymuje powierzona przez Godfryda tajemnica i wzgląd na położenie pani. Myśl jednak o sobie najpierw i czyń jak chcesz. Wymów pani do oddawcy tegoż wyraz: czekaj, a zrozumie, że mam być cierpliwym.

— Powiedz mu niech czeka, rzekła Anna, do oddawcy.

— I dorzuc obietnicę całusów dodał cichaczem Bishopriggs. Bądź pani spokojna, jestem pośrednikiem najlepszym jaki kiedykolwiek żył na świecie.

Z mocnem postanowieniem wyzwolenia Arnolda z przykrego jego położenia, Anna drzwi od sypialni otworzyła.

— Czyś to ty Anno? zapytała Bianka. Głos ten oprzytomnił ją.

W prostem zapytaniu Bianki, w sposobie jego wymówienia była jakby instynktowa przestroga, nakazująca milczenie. Czyż mogła wyznać jej całą prawdę, powiedzieć wszystko o Godfrydzie i sobie? A bez tego wyznania, czyliż mogła usprawiedliwić obecność Arnolda w karczmie? Spowiedź pełna wstydu przed niewinnem dziewczeniem, wątpliwość czy Arnold nie straci na jej szacunku, skandal wreszcie na jaki naraziłaby wszystkich, oto proste następstwa gdyby za pierwszym pobiegłym popędem, powiedziała Biance „Arnold jest tutaj!”

(d. c. n.)



Dalszy ciąg opisu dodatku arkusowego, dołączonego do N. 6. Tyg. Mód.

N. 17 — 18. Szalik na drutach.

Szalik ten z białej włóczki i kordonku, odrabia się na drutach znanych ściegiem. Frendzla przedstawiona cokolwiek w zmniejszeniu na Fig. 18 z czterech stron złożonej włóczki, 12 cent. długa, przywiązuje się jak na rycinie.

N. 19—22. Pelerynka włózkowa.

Krój na dodatku N. XVIII. Fig. 39—39a.

Materiał: 4 łyty angielskiej włóczki, 1 łyt jedwabiu. Tyłkrotnie opisywana robota w ramach uwalnia nas od opisu pelerynki, która bardzo używana na wygorowaną suknię do wejścia na zabawę. Deseń pelerynki w gwiazdy, dany także w krawaciku ryc. 33, może być biały lub mieszany z kolorowym. Ryc. 21 przedstawia tło w naturalnej wielkości. Ryc. 20 podaje to samo tło zmniejszone ze spodu. Położenie kwadratów oznaczone jest na formie pelerynki. Wstawka w naturalnej wielkości ryc. 20, daje się z kolorowej filozeli na białej włóczce, z dodaniem karbowanego białego jedwabiu, i atłasowej białej wstążki do podwleczenia. Biały puszek 8 c. szeroki, angorowa frendzla i szmuklerskie spięcie dopełniają całości.

N. 23—26. Szalik kaszmirowy.

W miejsce jedwabnych szalików, używają bardzo kaszmirowych w jednym kolorze, z okrągłymi lub spiczastymi końcami. Ozdobę jego stanowią rozety frywolitkowe z kordonku. Na modelu szafirowym obstembnowanym biało, rozety są również białe, także przywiązywana kordonkowa frendzla, okręca się szafirową nitką, jak to widać na rycinie.

N. 27—28. Dywanik mozaikowy.

Materiał: Resztki sukna w pięciu kolorach, czarna kiprowana wstążeczka 1 i pół cent. i 3 c. szeroka, żółty sutasz, czarny jedwab, płótno na podszewkę. Rycina 28 podaje w naturalnej wielkości dwa mozaikowe kwadraty z wyszyciem sutaszowym, którego środek daje się z pąsowego sukna 1 cent. duży, czarnymi ściegami przszyty. Kwadraty te zszyte z sobą, przedziela czarna tasiemka sutaszem przytwierdzona, 1 i pół c. szeroka. Z brzegu widać tasiemkę na szerokość 1 c. Falbanka w koło ma 3 c. szerokości, na spód daje się popielate płótno. Dobór kolorów, zależy od gustu.

N. 29. Haftowany medaljon.

Laurowym wieńcem otoczone cyfry, zawsze używane są na wieczka pudełek lub innych upominków; podajemy nowy taki medaljon na morze, suknie lub aksamicie wyszty. Liście są z włóczki lub jedwabiu, rok i laurów kwiatki złote.

N. 30. Uczesanie głowy z kwiatami.

Nagłyzek z dzierganym brzegiem. Krój na dodatku N. XIX Fig. 40.

Podług Fig. 40 przykrojone denko, obrębia się wążko i oszywa w tyle pojedynczo, z przodu podwójnie daną 3 c. szeroką nadmarszczoną szlarką.

W numerze 7 T. Mód pod N. 30 podany deseń zębów. Przed obdzierganiem robią się pajęczki, a po skończeniu roboty, wycina się z listka muslin. Bandaże 124 cent. długie ścięte są ukośno, przez środek zmarszczone

tak się układają, żeby dwa ich brzeżki wystawały ponad czołem. Kolorowe kokardy dopełniają garnirunku.

N. 32. Aksamitny kapelusz.

Kapelusz przypominający formę pamei, ma główkę i rondko gładko obciągnięte aksamitem; wążki djadem na przodzie ubierają pliski rypsowe i aksamitne, czarne pióro dane z boku przytwierdza rypsowa kokarda, mieszana z aksamitem i różą z gałązką. W środku w tyle spada kokarda rypsowa z końcami; z przodu rypsowe wstążki do wiązania.

N. 33. Krawatka.

Zobacz pelerynę ryc. 19.

Środek daje się z prostej kratki w ramach, mającej z obu stron strzyżone bombelki; końce w desenik, oszyte jak całość białym puszkciem.

N. 34. Kołnierzyk wykładany z koronką.

Krój na dodatku N. XIV. Fig. 32.

N. 35. Kołnierzyk płócienny stojący z wykładaniem klapkami.

Kołnierzyk ten złożony z prostego paska i klapek składa się z przystembnowanych gładko płóciennych pasków, wyciąganego szlaczka i koronki. Mankiet z zaokrąglonymi rogami daje się odpowiedni.

N. 36. Okrycie do teatru.

Zarzutka ta formą talmy, jest na modelu biała w czarnej drobnutki rzućki, naszywana złotą tasiemką; marsz-

Opis do Nr. 7.

N. 1. Ubranie z kaftanikiem do figury.

Na rypsowej spódnice z kaftanikiem brązowego koloru, dane są falbany atłasowe i pasy czarnych baranek. Kostiumy takie używane są także z dwóch dobranych materiałów z falbankami i obłożeniem w atłasie lub aksamicie, albo z jednolitej wełnianej tkaniny. Aksamitny kapelusz atłasem i piórem przybrany; krawatka z „Crépe de Chine.“

N. 2. Ubranie z paletotem do figury.

Kostium z welwetu w złotawo-brązowym cieniu, obłożony imitacją szynszyli, z atłasowym paskiem. Aksamitny kapelusz z futerkiem, brązowe pióro, i atłasowa kokarda uzupełniają to eleganckie ubranie.

N. 3. Ubranie z luznym paletotem.

Kostium powyższy z pięknej wełnianej tkaniny lub materji, aksamitnem plisami przybrany, uzupełnia paletot w tym samym kolorze z sukna lub aksamitu, futrem obłożony. Mała mufka z kwastami; kapelusz z długim woalem.

N. 4 — 5. Dwa kwadraty siatkowe.

Ryc. 4 przedstawia duży kwadrat siatkowy z cienką szydełkową koronką w koło, jakich używają na poduszeczki do śpilek, lub zestawione z innymi kwadratami tworzą ładne serwetki. Ryc. 5 podaje kwadrat o wiele zmniejszony, który na podobny użytek powiększyć można. Koronka na obszycie brzegów robi się w jednym długim pasie; na rogach dla zaokrąglenia marszczy się przyrabiając. Trzeba mniej więcej obrachować długość każdego boku kwadrata i w pierwszym zaraz rzadku zaznaczyć zaokrąglenie na rogach. Robota zaczyna się od 5 listków. Na podstawie 10 pow. oczek, robi się dla nadania formy listeczkowi napowrót; 1 śc. ocz. 1 pół. śl. 1 śl. 2 pod. śl. 1 śl. 2 pół. śl. 1 śc. 1ań. oczko. Na korzonek odlicza się 2 — 3 1ań. oczek — potem następuje drugi listeczek, który w środku podstawowych oczek zaczyna się o świeżo ukończony listek. W ten sposób odrabia się reszta listków; korzonki między czwartym i piątym listkiem, obrabiają się 1ańcuszkowymi oczkami, 1 1ań. oczko zakończy cały liść. Dziewięć pow. oczek. 1 śl. sięgają do końca listka, 9 innych tworzą najbliższy ząbek, aż do zaczęcia następnego listka, którego listek pierwszy dotyka poprzednio wykończonego. Po nad wspomnianymi zębami, co spajają liście daje się jeszcze jeden rząd zębów, potem 1 rząd gładki o 7 pow. oczkach, który stanowi podstawę słupek, będących brzegiem koronki.

N. 6—7. Chustka do nosa batystowa z tiulowym wyszyciem brzegiem.

N. 8. Krepowa krawatka.

Krawatka ta z „Crépe de Chine, wymaga 10 cent. szerokiego a 100 cent. długiego ukośni, z obydwóch stron obstembnowanego. Końce spiczaste, mają 11 cent. długą przywiązywaną frendzlę. Związawszy węzeł we środku, podszyciwa się pod nim cztery puple, z krótkimi końcami



N. 1. Ubranie z kaftanikiem do figury.

N. 3. Ubranie z luznym paletotem.

N. 2. Ubranie z paletotem do figury.

czona falbanka w zęby z nagłówkami, dana także w koło kapturka.



pod tem, daje się dla sztywności kawałek tiulu i spilka jak u broszek.

i frywolitkowy brzezek. Można dać także inny jaki materjał, wsztukowany przystembnowanemi pliskami.

N. 9—10. Krawatka i kokarda z kwascikami.

Dobrowszy 6 cent. szeroką wstążkę rypsovą, dają się na krawatkę pułką po 4 cent. długie, końce 17 cent. długości liczące, wysiepują się na 12 cent. i związują w dwa kwasciki. Kokarda do włosów ryc. 10 ma tylko jeden ko-

N. 17--18. Dwie spódniczki dla dziecka Opis i krój na dodatku N. VI fig. 10.

N. 19. Wełniana spódniczka. Opis i krój na dodatku N. V fig.

N. 20. Sukienka na spód. Opis i krój na dodatku N. I fig. 6—8.

niec z 7 cent. długą frendzelką.

N. 11—12. Krawatka i kokarda w węzeł.

Zręczna ta kokarda z 7 cent. szerokiej wstążki, polega na węzle który najwpierw związać należy z 15—20 cent. długiego, 3/4 cent. wysiepanego na końcach kawałka.

N. 13. Falbanka z płótna i koronki z wyciąganym szlaczkiem.

N. 14. Szlarka do dzieciennych spódniczek, kaftaników etc.

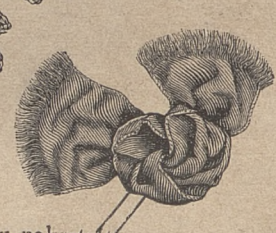
Między podwójnemi listewkami przystembnowanemi, robią się atłaskowe muszki; sutasz obrobiony rządkiem słupków (1 sł. 2 pow.) zakończają jeszcze ząbki z tasimeczki.



N. 10. Kokarda do włosów z kwascikową frendzlą. Zob. także ryc. 9.



N. 4. Kwadrat siatkowy wyszyty naksztalt gipiury.



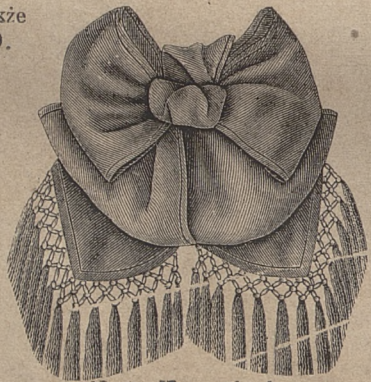
N. 12. Kokarda do włosów z węzłem.

N. 15. Koszulka dla dziecka.

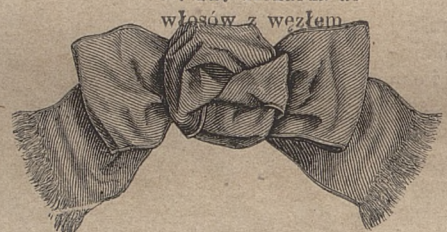
Stan kraje się z jednego kawałka, uważając aby miał odpowiednią długość i szerokość. Stosowne rozcięcia tworzą ranwersa koszulki, rękawki przymarszczone, dają się z prostego ku dołowi ukośnie ściętego kawałka. Wykłady i falbanki są dziergane na modelu.



N. 9. Krawatka z kwascikową frendzlą. Zobacz także ryc. 10.



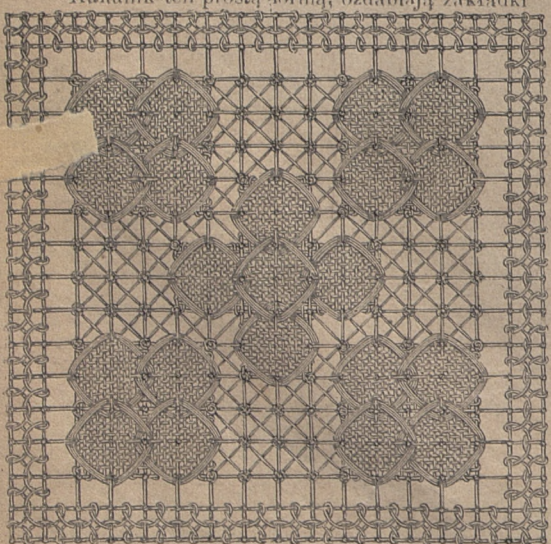
N. 8. Krawatka krepowa



N. 11. Kokarda z węzłem do kołnierzyka.

N. 16. Kaftanik dla dziecka.

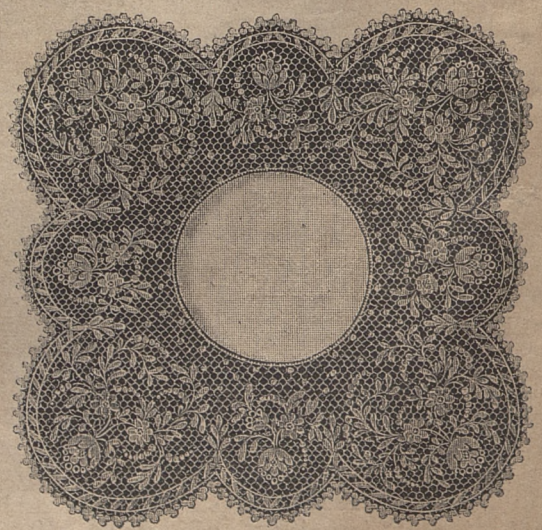
Kaftanik ten prostą formą, ozdabiają zakładki



N. 5. Kwadrat z siatkowej gipiury.



N. 7. Szlak do chustki od nosa.



N. 6. Chustka do nosa, ze szlaczkiem tiulowym. Zobacz ryc. 7.

N. 21. Sukienka dla dziecka.

Opis i krój na dodatku N. VII fig. 11 i 12

N. 22—23 i 30. Napierśnik dla dziecka.

Krój i opis na dodatku N. III fig.

N. 24. Trzewiczek dla dziecka. Krój i opis na dod. N. X fig. 19—20

N. 25. Fartuszek bluzkowy z przystembnowaniem.

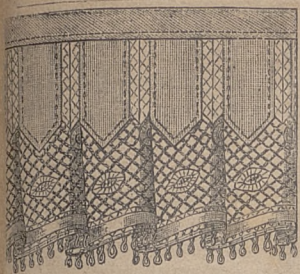
Krój i opis na dodatku N. II fig. 4

N. 26. Bluzkowy fartuszek z prostym karczkiem.

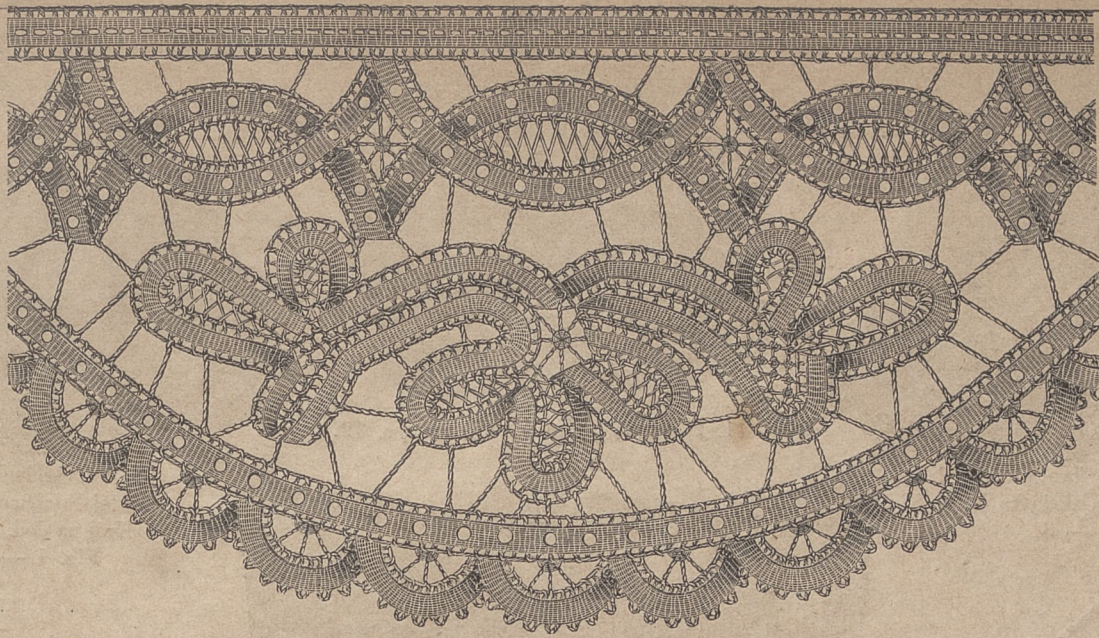
Fartuszek szeroki marszczony i z szerokim karczkiem w zęby u góry, daje się z prostego kawałka. Przód i tył fartuszka zapinanego w tyle, wynoszą 5 cent. długości, ramiączka 9 cent. długie mają 3 cent. szerokości. Fartuszek cały 100 cent. szeroki, tak się rozdziela zębami z przodu jak w tyle równo do siebie marszczek w wypadku. Model z popielatę angielkiej skóry, ma pąsowe sztywne wysycie.

N. 27—29. Koszyk z przystembnowaniem frywolitkowym





N. 13. Szlak płócienny z koroneczką do ryc. 35 w Tyg. Mód. N. 6.



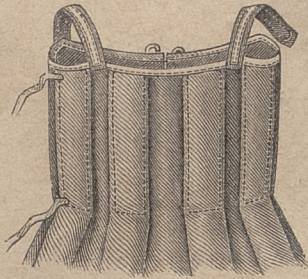
N. 14. Szlaczek do bielizny dla dzieci.

N. 30. Haftowany brzeżek do oszywania czepka rannego.

Ryc. 31 w Tyg. Mód N. 6.

N. 31 — 32. Pluszowy kaftanik na drutach.

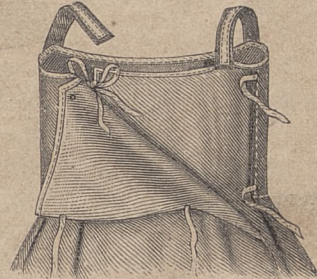
Materiał: angielska włóczka i cienka zwana „mooswolle“ w jednym kolorze, grube drewniane druty. Znany czytelnikom ścieg pętłkowy z



N. 29. Irlandzka koronka do ryc. 27.



N. 21. Sukienka dla dziecka. Krój i opis na dod. N. VII fig. 11—12.



N. 18. Spódniczka fałdowana. Plecy. Krój i opis na dodatku N. VI. Fig. 10. Zobacz ryc. 17.

N. 35. Gorset dla dziewczynki.

Krój i opis na dodatku N. IX fig. 14—18.

N. 36. Przezroczysty ścieg szydełkowy.

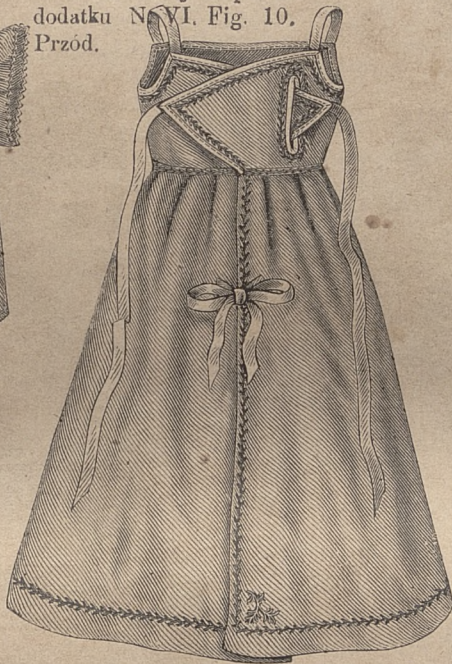
Ścieg ten w rodzaju tu-



N. 15. Koszulka dla dzieci.

dwoch nitki, angielskiej i cienkiej kordonkowej włóczki, służy na kaftanik przedstawiony.

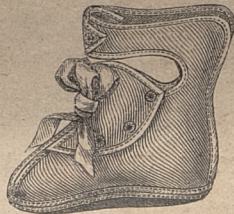
Każda część osobno, podług formy odrobiona, zszywa się po lewej stronie z drugą. Robota zaczyna się zawsze od dołu żeby 3 cent. duże pętliki swobodnie się układały; pierwszy rząd krótszych zastosować trzeba do formy kaftanika, w następnych już pętliki są ciągle równej długości. W plecach pierwszy rząd pętliki, zaczyna się od środkowego oczka, w następnych pętliki na obie strony równo spadają. Szydełkowe ząbki z powietrznych oczek, ozdabiają wykrój szyi.



N. 17. Spódniczka fałdowana. Krój i opis na dodatku N. VI. Fig. 10. Przęd.



N. 22. Napiersnik. Krój na dodatku N. III. Fig. 5.



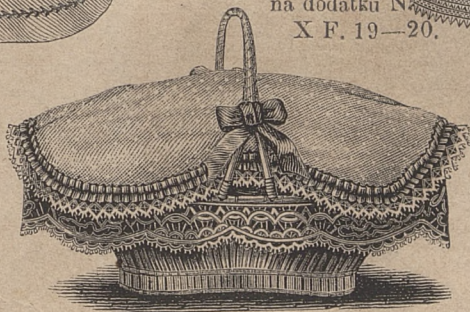
N. 24. Trzewiczek dla dziecka. Krój i opis na dodatku N. X F. 19—20.



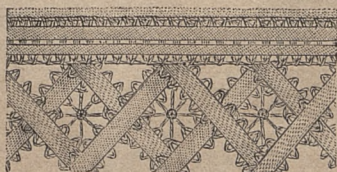
N. 20. Spódniczka dla dziecka. Krój i opis na d. N. IV. Fig. 6—8.

N. 16. Kaftaneczek dla dzieci.

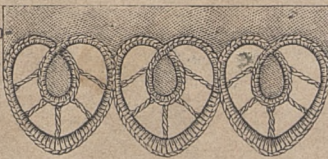
netańskiego, a angielską włóczką odrobioną, stanowi piękne tło na szaliki, kapturki i t. p. Z grubszej włóczki nadaje się dobrze na kołdry. Strzałka wskazuje jak w robocie jednym oczkiem zajmuje się aż trzy nitki, poczem nitka obwija się na szydełku; wszystkie przeciągają się 1 pętłką, po której robi się 1 powietrzne oczko. Z powrotem w odstępnie 2 pow. oczek, przeciąga się jedna pętłką, zajmująca zarazem przed nią będącą luzną nitkę.



N. 28. Koszyk koronką ozdobiony. Zobacz ryc. 27.



N. 23. Brzeżek do r. 22. Irlandzka koronka.



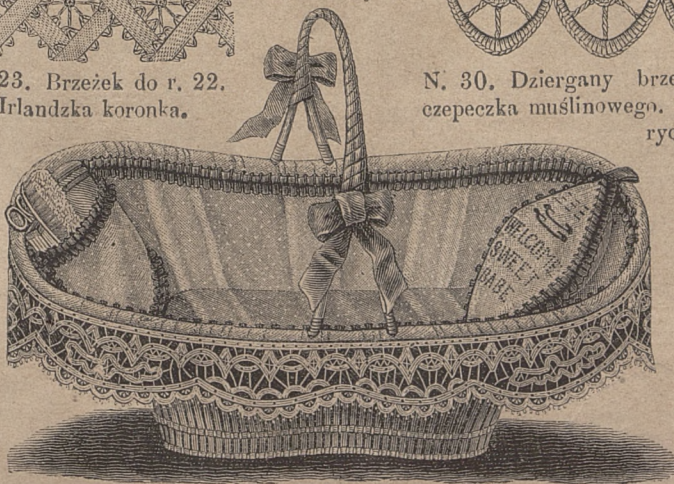
N. 30. Dziergany brzeżek do czepeczka muslinowego. Zobacz ryc. 31 w Tyg. Mód N. 6.

N. 37. Ubranie małego dziecka.

Sukienkę i napiersnik, ozdabia siatkowa gipiura, którą za-



N. 25. Bluzkowy fartuszek. Krój na dod. N. II fig. 4.



N. 27. Koszyk z koronkowym przyozdobieniem. Zobacz ryc. 28 i 29. Opis na dodatku.



N. 26. Bluzkowy fartuszek z prostym karczkiem.



stąpić można w części wstawką i koronką irlandzką lub frywolitkową.

N. 38. Kaftanik dla młodej panienki.

Krój na dodatku N. XV fig. 33—36a.

N. 39. Kaptur z kołkami.

Krój i opis na dod. N. XVII fig. 38.

N. 40. Stanik z fałdami dla starszej osoby.

Krój i opis na dod. N. XI fig. 21—25.

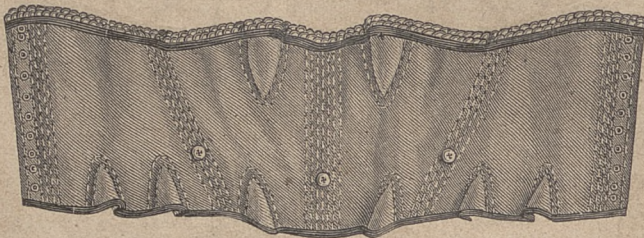


N. 31. Pluszowy kaftanik. Zobacz ryc. 32.

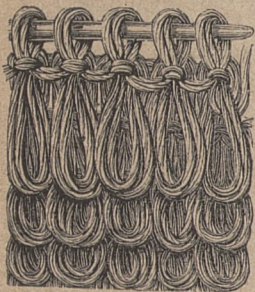


N. 34. Sukienka dla młodej dziewczynki. Krój na dod. N. I. Fig. 1—3.

N. 33. Sukienka dla młodej dziewczynki. Krój nadodatku N. I. Fig. 1—3.



N. 35. Gorset dla dziewczynki od 10 do 12 lat. Krój i opis na dod. N. IX. Fig. 14—18.



N. 32. Próbką roboty kaftanika ryc. 31.



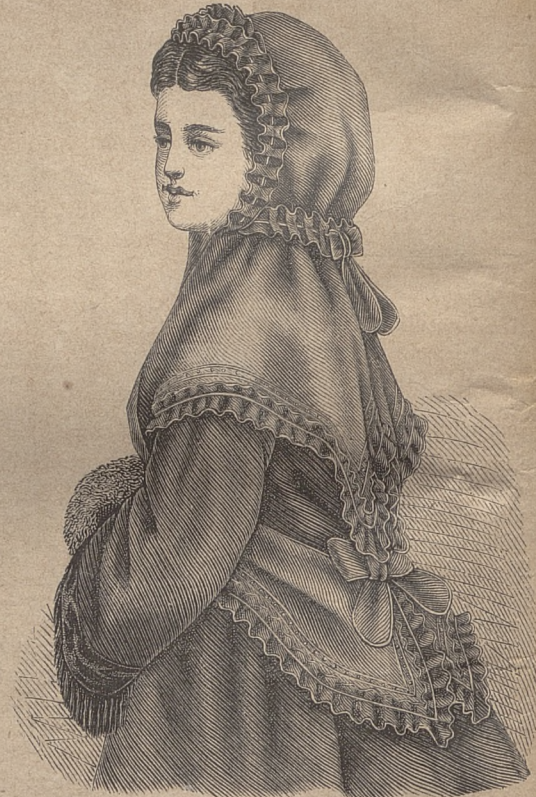
N. 36. Przezroczysty ściągacz delkowy na szaliki.



N. 37. Ubranie dziecka.



N. 38. Kaftanik dla panienki. Krój i opis na dodat. N. XV. Fig. 33—36.



N. 39. Kaptur z kołkami. Krój na dod. N. XVII. Fig. 38.



N. 40. Stanik faldowany dla starszej osoby. Krój i opis na dodat. N. XI. Fig. 21—25.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Sposób urządzenia w domu bulionu suchego.

Wziąć 4 funty cielęcych nóg, 12 funtów baraniny oczyszczonej zupełnie z łożu, 3 funt. cielęcego mięsa, 12 funtów wołowego, jeżeli jest zająca, kaczek lub jakiej zwierzyny, porąbać to wszystko w kawałki, przemyć, włożyć do wielkiego rondla lub pobielanego kociołka, tak aby połowa mięsem była zajęta, nalać pełno wody i gotować na niewielkim ogniu, zdejmując szumowiny bezustannie. Skoro mięso dostatecznie się ugotuje, przecedzić bulion przez sito, wyci-

snąć mięso i znowu włożyć do rondla, zalać wodą i gotować się wolno gotując aż mięso się rozpadnie, przecedzić znowu bulion przecedzając wycisnąć mięso, zlać oba buliony razem, postawić na zimnie a nazajutrz wlać z miski, zerknąć z wierzchu i jeżeli się du tłustość, osłodzić oszczony bulion tłustości, wlać do rondla i ponownie ogrzewać; zbijać pianę z 6 białkami wlać do bulionu dołożywszy trochę soli. Można tak

gotując mięso kłaść nieco korzeni orzechów suchych co bardzo podwyższa smak bulionu. Po zagotowaniu z białkami, przecedza się przez serwetę. Nakoniec znowu gotuje na małym ogniu aż do zgęszczenia z ostrożnością, aby nie przyłgnął do rondla poczem rozlać płasko do fajansowych naczyń a skoro ostygnie wyjąć na blachę pobielaną i wstawić na noc do letniego pieca. Jeżeli od razu nie wyschnie powtarzać to kilka razy. Wanda P.